Nr. 144. Lwów — Wtorek dnia 25 Czerwca. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zlr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „

Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 5 „

Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Prospera — Akiłyny
Jutro: św. Jana i Pawła — Ełyseja Prep.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 4 m. 6
Zachód „ „ 7 „ 58

Długość dnia g. 15 m. 53
Ubyło dnia od wczoraj 1 m.

Upraszamy naszych prenumeratorów z prowincyi o wczesne odnawianie przedpłaty. Wynosi ona na prowincyi z przesyłką pocztową:
Miesięcznie 1 zł. 10 ct.
Kwartalnie 3 „ 30 „
Półrocznie 6 „ 60 „
Rocznie 13 „ 20 „
Zmiana adresu kosztuje 20 ct.

Przegląd polityczny.

Lwów 24 czerwca.

Zawsze tak było i zapewne zawsze będzie, że to, co upadło, spotyka się tylko z naganą i potępieniem. Jestto nieodmienny los zarówno obalonych wielkości, jak zgruchotanych instytucyi, a świadczy co najmniej o tem, że ludzie mają bardzo krótką pamięć. Koalicya w Radzie państwa upadła i oto dziś ci, którzy ją popierali, chętnie nazywają ją „fatalną", albo nawet — jak dziennikarskie organa lewicy — „systemem nieuczciwym i najbardziej nienaturalnym, jaki kiedykolwiek był w Austryi". Czy to rzeczywiście prawda? Niezaprzeczenie, świeżo pogrzebanej koalicyi nie można uważać za nic idealnie dobrego, za najlepszą kombinacyę, jaką w ogóle można wymyśleć. Ale była ona tem, czem w danych okolicznościach jedynie być mogła, i tem, co tylko powstać mogło po upadku gabinetu Taaffego. Utworzyły ją żywioły w wielu rzeczach sprzeczne, ale w tem zgodne, że trzeba bronić państwa i ładu społecznego od radykalnych, socyalistycznych i niektórych wręcz antimonarchicznych taranów. Powstała więc koalicya nie dlatego, aby coś wielkiego stworzyć, i z góry wiedziano, że ona do tego niezdolna; powstała, aby bronić podstaw społecznego ładu i potęgi państwowej, przytem zaś przeprowadzić pewne reformy, które ktoś inny mógłby przeprowadzić na niekorzyść, a nawet z wielką krzywdą historycznej organizacyi krajów ich społeczeństw. Innemi słowy, stronnictwa ładu i umiarkowania we wszelkich przeróbkach zawarły sojusz obronny, a ponieważ były zaatakowane siarczyście, przeto odrazu znalazły się w położeniu oblężonej fortecy. Któż nie zna ze sztuki wojennej, że zadaniem takiej fortecy nie jest ani bitw staczać w otwartem polu, ani nowych krajów zdobywać, lecz jedyną jej powinnością odpierać szturmy, wycieczkami osłabiać napastnika i tak szczęśliwie doczekać się odsieczy. To właśnie czyniła koalicya: odpierała szturmy młodoczeskie, antysemickie i socyalistyczne; wycieczkami jej były reformy kodeksowa, podatkowa i wyborcza; a odsieczą miało się z czasem stać zmienione usposobienie ludności — zmienione właśnie pod wpływem owych reform. To wszystko czyniła koalicya, zatem powinność swą spełniała. Lecz, jakeśmy rzekli, trzy odmienne korpusy stanęły załogą w owej twierdzy koalicyjnej; każdy znich wniósł ze sobą odrębne dążności, które wprawdzie przyrzekł złożyć do cekauzu, aby całą siłą popierać tylko to, co wszystkie trzy miały wspólnego, ale w tej wstrzemięźliwości nie zdołały one wytrwać. Rychło w fortecy powstały niesnaski: trzy sprzymierzone armie niejednakowo pamiętały o celu swego sojuszu, niejednakowo były szczere, niejednako oceniały wartość owych reform, które miały sprowadzić ukojenie wśród ludności, a wreszcie poczęły wyjmować złożone do cekauzu odrębne swe dążności i tak oblężona forteca upadła z własnej winy — koalicya rozbiła się. Z dumą podnosimy, że korpus polski nic tu nie zawinił, wytrwał do ostatka tak hartownie i na zewnątrz karnie, że ktoby chciał mówić o dawnej polskiej niezgodzie i chwiejności, ten z naszej roli w koalicyi musi wyciągnąć wniosek o wielkiej zmianie, która się w nas dokonała.

Rozbiła się tedy owa „fatalna koalicya", ów „system nieuczciwy i najbardziej nienaturalny, jaki kiedykolwiek był w Austryi." Zapewne więc jest dążność do stworzenia czegoś — może nielepszego, ale koniecznie innego? Spojrzmy tedy, co się czyni.

W piątek wieczorem pełny klub Hohenwarta jednogłośnie uchwalił następującą rezolucyę: „Stronnictwo konserwatywne oświadcza, że, uwzględniając konieczność państwową, będzie popierało teraźniejszy prowizoryczny gabinet w jego zadaniach, przyczyni się do uchwalenia budżetu na rok 1895ty i do załatwienia spraw bieżących, postara się o przeprowadzenie reformy procedury cywilnej jeszcze podczas niniejszej sesyi, natomiast w interesie rolnictwa zaprojektuje, aby rewizya katastru gruntowego była odłożona na czas nieokreślony."

Jednocześnie klub lewicy, rozważywszy oświadczenie, złożone w pełnej Izbie przez prezesa nowego gabinetu hr. Kielmansegga, uchwalił prawie jednogłośnie: „popierać nowe ministeryum przy dalszem prowadzeniu przezeń spraw państwowych."

Klub lewego centrum, zwany klubem Coroniniego, powziął taką samą uchwałę.

Wreszcie w Kole polskiem uchwalono uznanie zarówno dla p. Madeyskiego, który ustąpił z gabinetu, jak dla p. Jaworskiego, który wszedł do nowego, co dowodzi, że ów nowy może być pewny poparcia Koła. Innego oświadczenia nie wymaga samo stanowisko Koła, uchylające wszelkie wątpliwości i tak powszechnie uznawane za prawidłowe, podyktowane względami na interesa monarchii że na ostatniem (21 b. m.) posiedzeniu Koła odczytano wystosowane do niego dziękczynne pisma ks. Windischgraetza i hr. Schoenborna za to, że ono życzliwie popierało ich ministeryalną działalność. Tu jeszcze zanotować musimy następujący epizod: Jak wiadomo z komunikatu młodoczeskiego, prezes Zaleski rozmawiał z którymś młodoczechem o warunkach, na jakich to stronnictwo głosowałoby za budżetem. Sprawozdanie z tej rozmowy było przedmiotem tajnej rozprawy na posiedzeniu Koła 18 b. m. Jednak, pomimo że ta dyskusya była tajna, pojawiły się o niej doniesienia w naszych liberalnych dziennikach, lecz fałszywe, przekręcone, podsuwające p. Rutowskiemu zarzuty, których on nie robił. W skutek tego na posiedzeniu Koła dn. 21 b. m. uchwalono znieść tajemnicę z posiedzenia poprzedniego, aby posłowie mogli sprostować fałszywe o nich dziennikarskie relacye. Zarazem skonstatowano, że nowinki *Nowej Pressy*, wrzekomo pochodzące „z parlamentarnych sfer polskich", nie pochodzą z tych sfer. Na mocy upoważnienia do sprostowań, wystosował dr. Rutowski do *Nowej Reformy* pismo, w którem przeczy, jakoby czynił zarzuty prezesowi Zaleskiemu na posiedzeniu z 18 b. m. i przebieg tego posiedzenia tak podaje:

„Poseł Sokołowski zapytał prezesa, co znaczy komunikat młodoczeski o rzekomych rokowaniach prezesa z reprezentantami klubu młodoczeskiego, o jakich Koło dotąd nic nie wie. Prezes Zaleski natychmiast wyjaśnił, że żadnych rokowań nie prowadził, że jedynie miał prywatną rozmowę z jednym młodoczechem, przyczem rozmowa ta nie miała żadnej intencyi, ani cechy rokowania politycznego. Poseł Rutowski prosił, żeby wobec komentarzy wywołanych komunikatem młodoczeskim, wyjaśnienie prezesa było publicznie ogłoszone. Kilku posłów domagało się już to sprostowania ze strony prezesa, już osobnego komunikatu. Inni uważali jednak wyjaśnienia prezesa *pro foro interno* za wystarczające i ogłoszenie ich wobec doniosłych wypadków za zbyteczne. Co też Koło uchwaliło."

Opowiedziawszy ten epizod, wracamy do założenia. Z tego, cośmy wyżej podali o rezolucyach klubów, które dotąd tworzyły koalicyę, wynika, iż one będą popierały nowy gabinet. Natomiast ci, którzy dotąd byli w opozycyi, pozostaną w niej i nadal. Że tak uczynią niemieccy narodowcy, antysemici i radykaliści w guście Pernerstorfera, albo Kronawettera, to nie ulegało wątpliwości, ale zarazem nie miało ważnego znaczenia. Chodziło o stronnictwo młodoczeskie, które chciano skłonić do zmiany postępowania. To się jednak nie udało, jak widać z następującego komunikatu, rozesłanego przez klub młodoczeski:

„Obszerna dyskusya, jaką klub przeprowadził nad obecną sytuacyą polityczną, zakończyła się jednomyślną uchwałą wszystkich obecnych 32 posłów, że klub obstaje przy programowych, taktycznych zasadach, przedstawionych po raz ostatni na zjeździe w Nimburgu 23 lipca 1894 r., ponieważ przez rozbicie koalicyi i ukonstytuowanie się nowego tymczasowego gabinetu nie spełnił się żaden z postawionych na wspomnianym zjeździe warunków, któryby dopuszczał zmianę politycznego działania."

A zatem cóż osiągnięto przez rozbicie „fatalnej" koalicyi, która była „systemem nieuczciwym i najbardziej nienaturalnym"? Oto nic innego, tylko to, że nie będzie wspólnego porozumiewania się, nie będzie komisyi parlamentarnej, nie będzie jakoś przecie zorganizowanej większości, ale wszystkie odłamy tej rozbitej większości będą ścigały te same i tylko te cele, co przedtem, — czyli, że w każdym wypadku dawna koalicya będzie się skupiała, aby odeprzeć nie jakąś inną, nową, ale znowu tę samą dawną opozycyę. Więc nie była koalicya ani „fatalną", ani „systemem nieuczciwym", jeśli nie zdołano nic innego postawić na jej miejscu i postanowiono w klubach jej tak działać nadal, jakby przy niej działano.

Powtarzamy, cośmy powiedzieli na wstępie: koalicya nie była doskonałą kombinacyą, lecz była jedynie możliwą; była fortecą, w której umiarkowane obozy wspólnie się broniły, opracowywały plany operacyi, wzajemnie się wspierały, więc była jakaś faktyczna karność i jakaś wspólna komenda. Teraz zaś i armie umiarkowane zostały te same i cele ich te same, zabrakło tylko fortecy, wspólnego sztabu głównego i — że się tak wyrazimy — konwencyi militarnej. Będą te armie szły razem od wypadku do wypadku, zatem o nieporozumienia między niemi jeszcze łatwiej, niż przedtem, i siła ich słabsza. A nie można powiedzieć, żeby przeciwnik pofolgował w swych atakach na ład społeczny i na mocarstwową spoistość monarchii. Owszem, rośnie on w siły, w zuchwałość... już ulicą zaczyna kierować, znalazłszy w niej sprzymierzeńca.

Jeśli stronnictwa umiarkowane uchwaliły postępować nadal zupełnie tak, jakby postępowała w bieżących sprawach koalicya, to znaczy, że ją rozbito w każdym razie za wcześnie.

Przeciw Crispiemu znowu opublikowano kompromitujące go dokumenta. Uczynił to w dzienniku *Don Chisciotte* niedawny najserdeczniejszy przyjaciel Crispiego, a teraz zaklęty wróg jego radykalny deputowany Cavallotti. Ten akt oskarżenia zajmuje dwa arkusze ścisłego druku i zawiera opis całego życia Crispiego, więc najpierw jego fałszywe małżeństwo w r. 1854ym, potem bigamią, dalej różne awanturnicze historye, które długim szeregiem ciągną się aż do fałszywego zeznania przed sądem w sprawie banku rzymskiego. Za to zeznanie, które ocaliło Tanlongę, otrzymał Crispi podobno 20.000 lir. Najdłużej udowadnia Cavallotti przekupstwo Crispiego w sprawie orderu św. św. Maurycego i Łazarza dla Korneliusza Herza, owego rycerza giełdowego, który zasłynął w procesie panamskim, wymuszaniem doprowadził bankiera Reinacha do samobójstwa, a potem zbiegł do Anglii, gdzie dotąd wciąż niby umiera, w skutek czego sądy angielskie nie mogą wydać go Francyi. Cavallotti udowadnia przekupstwo Crispiego w tej sprawie szczegółami z francuskich protokołów śledczych, zeznaniem margrabiego Rudiniego przed parlamentarną komisyą siedmiu i słowami ministra domu królewskiego Rattazzi'ego, który przedstawiał Crispiemu, że udzielenie orderu Herzowi skomprominuje Włochy, ich króla i rząd, lecz Crispi się uparł, a w końcu oświadczył, że Herz da za ten order 60.000 lir na włoski szpital św. Maurycego. Z aktów procesu panamskiego wydobył Cavallotti notatkę, z której wynika, że za order dla Herza posłał Reinach Crispiemu 50.000 lir „na koszta kancelaryjne".

Młodoczeska blaga.

Piszą nam z Wiednia, 23 czerwca:

W obec bliskich wyborów do sejmu krajowego stronnictwu młodoczeskiemu zależy na tem, aby się wyborcom radykalnym zaprezentować w roli skrajnej, niezachwianej, piorunującej opozycyi, ale zarazem wmawiać w nich, że klub młodoczeski w Izbie poselskiej stał się czynnikiem decydującym, uznanym jako taki i poszukiwany przez inne stronnictwa. Pierwszemu celowi służyła owa cyniczna, niebywała dotąd w parlamencie austryackim obstrukcya, która — trzeba to podnieść jeszcze *post festum* — nie wywołała we wszystkich kołach dawnej koalicyi tego jednomyślnego i stanowczego głosu oburzenia i potępienia, na które zasługiwała. W tym samym celu niezawodnie dr. Edward Gregr w rozprawach nad budżetem wygłosi znowu jednę z tych mów, nadużywających nietykalności poselskiej do wynurzeń wprost rewolucyjnych.

Drugiemu celowi służą zręcznie rozgłaszane i naiwnie powtarzane plotki o wrzekomych układach innych przywódzców parlamentarnych z młodoczechami. Seryę tych plotek rozpoczęły doniesienia o rzekomych „rokowaniach" hr. K. Badeniego z — Eimem (!) oparte na czczych wymysłach, tem bardziej, że p. Eim nie posiada żadnego wpływu w klubie młodoczeskim, a tem mniej legitymacyi do układania się w jego imieniu. Następnie fakt, że przywódzcy parlamentarni usiłowali skłonić wszystkie frakcye, a więc nietylko młodoczechów, do zaniechania obstrukcyi przeciwko reformie podatkowej, która i tak w skutek zmiany gabinetu ustępuje z repertoaru, zużytkowano w ten sposób, jakoby się były rozpoczęły z młodoczechami rokowania o — sojusz. Była to prosta blaga, obliczona jedynie na to, aby *Narodni Listy* mogły dumnie zapewnić, że młodoczesi „nie myślą zamienić lwiej skóry na liberyę", i aby we wszystkich karczmach królestwa św. Wacława radykalni wyborcy powtarzali przez dni kilka: „Jakie to zuchy nasi Kaftanowie, Pacakowie, Heroldowie! Daremnie hr. Hohenwart i Eksc. Zaleski proszą o ich przyjaźń".

Trzecią fazę tej blagi tworzą rozprawy delegacyjne. I tu nibyto najpoważniejsi przywódzcy parlamentarni zbliżają się do młodoczechów, winszują p. Heroldowi itd. Parlamentaryzm często psuje obyczaje, o czem świadczą dostatecznie znane zajścia w Izbie poselskiej, ale też czasem jeszcze, jak w dawnych czasach wydelikatnia stosunki. Dlatego zawsze być może, iż który z poważnych delegatów grzecznie powiedział p. Heroldowi, że w delegacyi przemawiał oględniej, niż przed trzema laty Eim, albo Pacak, albo Kaftan. Ztąd wnosić, że zachowanie się młodoczechów w delegacyi zgadzało się z obowiązkiem stronnictwa jako tako roztropnego i poważnego, byłoby to niezawodnie grubym błędem, chociażby p Herold nie oświadczył za kilka dni na jednem ze zgromadzeń czeskich, jak to uczynił przed trzema laty, że w Wiedniu czasem trzeba mówić inaczej, że jednak rozumie się samo przez się, iż wszyscy młodoczesi podzielają poglądy dr. Vaszatego!

Radykalizm czeski dziś, jak dawniej, dąży zawsze do ścisłego złączenia się z Rosyą. Jeżeli w ostatniej sesyi delegacyjnej mówcy młodoczescy główny przycisk kładli na potrzebę rozwiązania ligi potrójnej i na neutralność Austryi, to każdy radykalny wyborca młodoczeski wie doskonale, że ta neutralność w intencyi młodoczechów ma być tylko niezbędną fazą przejściową do aliansu z drogą im Rosyą. Ktoby tego nie rozumiał, ten chyba nie miałby elementarnych pojęć o rzeczywistych prądach i celach ruchu młodoczeskiego.

Wystawa w Poznaniu

Poznań 21 czerwca.

Dotychczas napływ gości na wystawę z prowincyi i dalszych okolic nie jest zbyt wielki. Przeciętnie zwiedza wystawę 1000 osób dziennie. Podczas świąt Zielonych ruch zwiedzających znacznie się ożywił, a ożywi się jeszcze pod koniec miesiąca z zamknięciem nauki po szkołach. Ci za to, co przybywają na wystawę, zwiedzają ją gorliwie, a jednym z najbardziej interesujących ogół działów, jest dział robót kobiecych. Dział ten zarówno pod względem ilości, jak i jakości wystawionych okazów, prezentuje się imponująco. Spotykamy tu po części prawdziwie artystycznie wykonane gobeliny, ornaty, draperye, ekrany, hafty, poduszeczki itp. Główną ozdobę tego działu stanowi piękny gobelin, nadesłany przez p. L. Mirosławską z Warszawy, a wyobrażający wiejską dziewczynę pasącą gąski. Obok tego gobelinu zasługują na wymienienie odznaczające się wytwornością rysunku i delikatnością wykonania rzeźby szwedzkie hr. Mielżyńskiej z Iwna, hafty kościelne tutejszego Arcybractwa Adoracyi Najświętszego Sakramentu, draperye wschodnie, nadesłane przez hr. Skórzewską z Czerniejowa i rozmaite wyroby ręczne z Glinian, własność ks. Czartoryskiej. Powszechną uwagę zwracają także na siebie śliczne hafty, wykonane przez 80-letnią hr. Tyszkiewiczową z Sielca.

Ciekawym, zwłaszcza dla nas Polaków, smutnie ciekawym jest dział urządzony przez władze rządowe w Poznańskiem, zwłaszcza w zakresie szkolnictwa. Mapy n. p. statystyczne król. rejencyi poznańskiej i bydgoskiej, dają smutny dla katolika Polaka obraz z lat dziesięciu 1884—1894; natomiast germanizatorowie mogą być zadowoleni, widząc, jak protestantyzm i germanizm szerzy się w naszej dzielnicy przez szkołę. Ludność wielkopolska jest przeważnie polsko-katolicka, a statystyka rządowa wykazuje nam mimo to przeważnie większy wzrost szkół protestanckich! O tem wiedzieliśmy oddawna, teraz królewskie rejencye: poznańska i bydgoska *ad oculos* nam to stawiają.

Niemniej bolesnym dla polskiego widza jest zakątek działu szkolniczego, gdzie się pomieściła komisya kolonizacyjna.

Na wystawę nadesłała ona plany, a po części i modele szkół i kościołów, pobudowanych w nabytych przez siebie majątkach. Dowiadujemy się więc, że komisya w przeciągu ośmiu lat swej działalności (od r. 1887) wybudowała 43 1-klasowe szkoły, a oprócz tego 7 szkół połączonych z domami modlitwy. Największy przyrost tych szkół przypada na powiaty: gnieźnieński, mogilnicki, zniński, szubiński i wrześnieński. Zbory protestanckie wzniosła komisya w Żenikach w pow. gnieźnieńskim i w Nowym Wilkowie w powiecie leszczyńskim.

Dzięki planom komisyi i wspomnianym powyżej mapom, wygotowanym z polecenia rejencyi poznańskiej i bydgoskiej, wystawa daje dość dokładny obraz rozwoju wychowania publicznego w ostatniem dziesięcioleciu. W tym okresie wybudowano w 27 powiatach wiejskich Poznańskiego ogółem 496 szkół z 824 klasami; w obwodzie regencyjnym bydgoskim w lokalach wynajętych 40 szkół, a mianowicie 25 protestanckich, 14 katolickich i 1 symultanną (bezwyznaniową). Wybudowano zaś nowych szkół: 67 ewangielickich, 22 kato-

---

14)

NA SŁUŻBIE

POWIEŚĆ

ZOFII KOWERSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

— Przepraszam za spóźnienie się, — rzekła Alina — winien temu niedźwiedź, który mię tak przestraszył, że pani Mierznicka wzięła mię całą drżącą do swego pokoju. Moja wina wszakże, żem o godzinie zapomniała. Nie zdarzy mi się to więcej. Muszę tylko stanąć w obronie pani Mierznickiej. Mówiła mi wprawdzie o pani, ale z najwyższem uznaniem.

— A, doprawdy? Gdy tu pani dłużej pobędzie, przekona się pani, że Mierznicka nie zawsze z uznaniem o mnie mówi. Niech pani zabiera Miecię do lekcyi. Mam teraz chwilę wolną, posłucham, jak wam idzie nauka.

Umysł Mieci był dość zaniedbany. Dziecko mówiło dobrze po francusku i w tym języku umiało kilka bajeczek i wierszyków, a także trochę katechizmu. Czytało bardzo źle po polsku, a jeszcze gorzej pisało, brakowało mu wszakże pojęć najprostszych. Alina zaczęła z niem od nauki o rzeczach. Pokazywała obrazki, tłómaczyła, rysowała to, czego dokładnie słowami określić mogła. Mówiła z zapałem, pragnąc utrzymać uwagę Mieci i obudzić jej interes. Dziecko słuchało, zapatrzone w twarz nauczycielki z oczami wyblakłemi, rozszerzonemi przez żywe zajęcie, z ustami nawpół otwartemi. W odpowiedziach jego znać było, że jego umysł wzmaga się na wysiłki. Godzina przeszła łatwo i prędko, zarówno dla uczenicy, jak dla nauczycielki.

Gdy dziecko wyszło, Skierczyna ozwała się, patrząc prosto w oczy Aliny:

— To nie ma sensu taka nauka.

Alina zarzut ten przyjęła z uśmiechem. Wydał jej się po prostu śmiesznym. Nie poczuła żadnej urazy.

— Mam tu cały początkowy kurs nauk... — zaczęła.

— To nic a nic moich pojęć zmienić nie może. Wy teraz z nauki staracie się zrobić zabawę, a nauka powinna być pracą. Dziecko powinno ją uważać nie jako przyjemność, ale jako obowiązek. Uczynić mu go twardym i ciężkim i zmusić do wykonania go sumiennie, jest to odrazu dać dziecku siłę woli i naukę życia. Nie ułatwiać tego, co jest obowiązkiem, bo życie go nie ułatwia. Pani jest osobą wykształconą, widzę to, wyższą nauczycielką z wrodzoną zdolnością do wykładania, a jednak ja znajduję, że Vincart lepiej Miecię uczy. Zadaje jej trudny katechizm, którego dziecko na pamięć wyuczyć się musi. Jest to opłacone płaczem, spazmami; ale dziecko uczy się na tem, że obowiązek bywa nieprzyjemny i trudny do spełnienia, a jednak spełnić go trzeba. Powiedziałam pani moje zdanie, ale z uśmiechu pani widzę, że go pani nie podziela.

— Nie pani. O pojęcie obowiązku spierać się nie będę, ale rozwijać umysł dziecka muszę wedle ogólnej przyjętej zasady.

— Która nie ma najmniejszego sensu. Sama byłam uczona inaczej i dzieci moje inaczej uczyłam. Musiały wykuć zadaną lekcyę, czy ją rozumiały, czy nie, i czy im była przyjemną, czy przykrą, tak, jak musiały jadać potrawy, do których miały wstręt. Julek wzdrygał się na flaki i marchew, więc nic innego całemi tygodniami nie dostawał.

— Biedne dziecko! — zawołała Alina.

— I widzi pani, że nie dostał suchot z tego powodu. Bał się też wejść do ciemnego pokoju. Zamykałam go w ciemnym pokoju całemi godzinami.

— Mógł dostać konwulsyi lub jakiej innej choroby nerwowej.

— Nie dostał żadnej choroby, a nie boi się teraz niczego. Pani, którą biedny, lękliwy niedźwiedź przestrasza, nie zaprawiano zapewne w dzieciństwie do żadnej walki z sobą.

Alinę ogarnęło nagłe wzruszenie.

— O, moi rodzice — rzekła przerywanym głosem — wszystko mi tylko ułatwić pragnęli! Odsuwali najlżejsze przykrości... nigdy z przymusu nie spełniłam rzeczy, która-by mi była przykrą... Mój ojciec... on dla usunięcia ode mnie najmniejszej nieprzyjemności... on był gotów...

— I wychowawszy tak dziewczynę, oddają ją potem na nauczycielkę!

Skierczyna wyszła. Alina powiodła za nią wzrokiem, myśląc:

— Tak, oddają ją na nauczycielkę, a ona pomimo wszystkich pieszczot, jakich doznała, pomimo że ją wychowała sama tylko słodycz, że nie doznała nigdy surowości, ona będzie miała wytrwałość i silną wolę i potrafi jeść twardy chleb nauczycielski z odwagą, a nawet czuć się szczęśliwą. Przelękła się niedźwiedzia, to prawda; ale nic a nic się nie boi despotyzmu pani Skierczyny. Pragnie swoje obowiązki spełniać punktualnie i sumiennie, ale bynajmniej nie ze strachu!

Weszła do pokoju, gdzie Miecia przebywała z boną.

— Mieciu, moje dziecko — ozwała się — zapomniałaś wziąć książkę z powiastką, którą masz raz jeszcze dziś przeczytać, byś mi ją mogła jutro dobrze opowiedzieć. Chodź, możemy tę powiastkę razem jeszcze przeczytać.

Chciała wziąć Miecię za rękę, gdy bona, źle rozumiejąca o co chodzi, stanęła nagle przed dzieckiem w postawie wyzywającej, jakby je własnem ciałem zasłonić chciała.

— Miecia powinna teraz być przy mnie! — zawołała z zaiskrzonym wzrokiem. — Pani Skierczyna sama tak rozkazała?

— Nie chcę się sprzeciwiać rozkazom pani Skierczyny — odparła spokojnie Alina — ale Miecia ma zadaną lekcyę i tej się na jutro nauczyć musi. Chciałam jej ułatwić zadanie, pomagając jej w niem, ale do walki z panią nie wystąpię.

Wyszła spokojnie, udając, że nie słyszy tego, co prędko trzepała Francuzka.

Spokój ten był tylko zewnętrzny. W duszy Aliny był gniew, obraza, niesmak z powodu zachowania się bony. Napróżno powtarzała sobie, że to drobnostka, że będąc jako nauczycielka w położeniu zależnem, musiała się przygotować na różne przykrości. Wzmagała się na siłę, na spokój, gniewała się na swoje nerwy; pomimo to przykrość i niezadowolnienie trwały w niej. Pozbyć się ich nie mogła, choć usiłowała zapanować nad niemi.

Podwieczorek, na który ją wezwano, oddziałał na nią jeszcze bardziej osmucająco. Nikt przy nim ani jednem słowem się nie odezwał. Młodego Skierki nie było, nie wrócił był jeszcze z folwarków, które objeżdżał; pani domu była jakaś zafrasowana, czy w złym humorze. Alina spotkała tylko parę życzliwych spojrzeń Mierznickiej. Że dziecko z pewnością nie miało być jej oddane dnia tego, więc po podwieczorku udała się do pokoju wdowy, żeby jej podziękować za jej starania podczas wstrząśnienia jakiego doznała przy spotkaniu z niedźwiedziem. Zastała tam Leontynę z robotą w ręku. Cerowała ona jakąś bardzo już wysłużoną serwetę. Alina spojrzała na cerę i oświadczyła, że choć cerować umie, jednak taką ma już właściwość, że zawsze materyał koło cery ściągnąć musi. Leontyna podniosła pod światło rozłożoną serwetę i rzekła z ironią:

— Nie można tu u nas ściągać cer, bo coby się stało ze skierczyńskimi dostatkami! Oto jest skierczyńska bielizna stołowa!

Śmiała się tylko szyderskim wyrazem ust, bez żadnego podniesienia głosu.

— Mnie zawsze taki wycerowany zabytek przeszłości imponuje — rzekła Alina. — To jest taki pomnik pracy, oszczędności, porządku, zabiegliwości...

— Szczególniej, gdy ten pomnik stawia się cudzemi rękoma. Niechby Skierczyna sama trochę pocerowała!

Mierznicka zaśmiała się cicho, z widocznem zadowolnieniem.

— O, ona tylko w ciągłym strachu, żeby kto chwili nie popróżnował; a sama... nigdy jej nie widziałam z robotą w ręku. W każdej dziurze jej pełno i każdemu musi zalać za skórę, a jeżeli posiedzi godzinę, to nad rachunkami albo nad papierami.

— Osoba, która miała na barkach tak ciężkie zadanie... — ozwała się pojednawczo Alina.

— Z zadania się nie wywiązała! Skierczyńska fortuna tyle dziś warta, co ta serweta. Tylko tyle, że ją się ciągle łata. Julek się zamorduje w takiej pracy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

lickie i 8 symultannych. (Do tak zw. szkół symultannych uczęszczają dzieci katolickie, ewangielickie i żydowskie). W ogóle nowy ten „rządowy“ dział wystawy, otwarty dopiero przed kilku dniami, a mieszczący się w przybudowie do głównej hali przemysłowej, zasługuje na szczegółową uwagę, wykazuje bowiem rezultaty pracy rządowej około podniesienia oświaty i ekonomicznego położenia prowincyi.

Przejdźmy do urządzeń dla nauki szkolnej i przemysłowej po więzieniach, których obraz dokładny mamy również na wystawie. Najefektowniej, a zarazem najboleśniej z tej wystawy rządowej przedstawiają się modele więzień „rawickiego“ i „wronieckiego“. Co to za kosztowne urządzenia! Z jakim komfortem tam wszystko urządzone! Ile to ludzi mieszczą w sobie te zakłady więzienne! Ileż to obok tych więzień jest jeszcze u nas innych gmachów więziennych, równie kosztownie wyposażonych! A podobno jednak one nie wystarczają na pomieszczenie wszystkich zbrodniarzy; raz po raz te zakłady posyłają sobie nawzajem więźniów, których u siebie pomieścić nie mogą. Ta okoliczność, jakoteż rezultat wrażeń wyniesionych przez zwiedzającego wystawę rejencyjną, w której najjaskrawiej uderzają modele więzień, głęboko wciskające się w umysł widza myślącego, są smutnym znakiem czasu. Te modele, to wierne odbicie obecnych stosunków społecznych. Powiedział przed około pięćdziesięciu laty Harkort w sejmie pruskim: „Jeżeli chcecie wypróżnić więzienia, to poprawcie szkolnictwo!“ Wznoszące się od tego czasu bezustannie gmachy więzienne, zapełniane nieszczęśliwymi, zbaczającymi z drogi prawa Bożego i ludzkiego, to wymowne świadectwo tego na jaką padły rolę słuszne nawoływania Harkorta. Dałby Bóg, aby się to jak najrychlej na dobre zmieniło!

Nie wszystko jednakże na wystawie jest dla nas Polaków tak smutnem, jak wspomniany dopiero dział, owszem, wszędzie naokoło widać ślady usilnej pracy rąk naszych, ciągłego dążenia do rozwoju, ciągłego doskonalenia istniejących wśród Polaków gałęzi przemysłu i to mimo niesłychanie trudnych warunków i silnej konkurencyi wielkich firm niemieckich, tak tutejszych, jak w ogóle z całego cesarstwa niemieckiego. Fakt ten uznają sami Niemcy, a jedno z pism ich, *Bromberger Tageblatt* pisze z tego powodu:

„Jak wielkie postępy zrobili Polacy w dziedzinie przemysłu w ostatnich 20 latach, przekonać się można najlepiej w poszczególnych działach wystawy poznańskiej. Mimo, że wśród nich było wielu przeciwnych obesłaniu wystawy, a liczne większe firmy polskie w ostatniej chwili cofnęły się od udziału w niej, to jednak udział Polaków w wystawie jest nadzwyczaj wybitny. Grupy polskie są bardzo urozmaicone, wszystkie prawie są gustowne i wprost wykwintne, a wystawione okazy reprezentują znaczną wartość“.

Bardzo wybitną rolę na wystawie odgrywają żydzi. Podobnoś chcieli oni przez nią pokazać, że są tu panami sytuacyi ekonomicznej. Oni przy budowaniu wystawy wysunęli się na pierwszy plan, oni górują pod względem udziału jako wystawcy, „oni wreszcie — jak pisze jedno z pism tutejszych — korzystając z przywileju, pozwalającego wystawiać tutejszym reprezentantom firm zamiejscowych, wzięli się po swojemu do dzieła i zapewnili sobie zwycięztwo. Przeważna część bowiem fabryk zamiejscowych, które przysłały swe okazy na tutejszą wystawę, ma żydów jako reprezentantów. Na uwieńczenie dzieła potrzebaby tylko, aby żydzi ze swemi reprezentacyami wyrobów zamiejscowych otrzymali najgłówniejsze nagrody“

Nic dziwnegoby to nie było, bo to nie są wyroby żydowskie, ale wyroby najdoskonalszych fabryk akcyjnych i tej konkurencyi przemysłowcy nasi uniknąć na wystawie nie mogli. A znów trudno się dziwić polskim kupcom i przemysłowcom, że nie starali się zbyt gorliwie o reprezentacyę firm np. berlińskich, przecież mają fabryki polskie i owszem bardzo to chwalebne, że o nie przedewszystkiem dbają.

Delegacye.

W sobotę odbyły się plenarne posiedzenia zarówno austryackiej jak i węgierskiej delegacyi.

W delegacyi austryackiej referent Dumba rozpoczął ogólną dyskusyę nad budżetem ministerstwa spraw zagranicznych, wskazując, że oświadczenie ministra hr. Gołuchowskiego, złożone w komisyi budżetowej, tworzą bardziej szczegółowy komentarz do zapewnień w duchu pokojowym, które zawierała w sobie mowa tronowa, a które w tak wysokim stopniu zadowolniły delegacyę. Te pokojowe zapewnienia znalazły w ostatnich dniach potężne echo i zostają w ścisłym związku z ową mową, pełną pokojowego ducha, którą dostojny sprzymierzeniec naszego Cesarza Franciszka Józefa rzucił w świat od wybrzeży Kanału Północnego. Stworzenie tak wspaniałego dzieła pokoju dowodzi, że państwa i narody obecnie o zupełnie innych myślą walkach celem opanowania świata: że współzawodniczą ze sobą na polu ekonomicznem. W wysokim przeto stopniu jest to rzeczą godną uznania, że p. minister spraw zagranicznych zamierzył dać silny impuls naszemu obrotowi handlowemu. Mówca zalecił przyjęcie budżetu.

Następnie wywiązała się dosyć długa debata, gdyż młodoczesi Kaftan, Pacak i Herold musieli skorzystać z nadarzającej się im sposobności zaatakowania trójprzymierza. Pomagał im w tem poseł Biankini, Kroat z Dalmacyi, który specyalnie uderzał na Włochy i zarzucał, że cały spór o napisy słoweńskie w Istryi musi być następstwem jakiegoś tajnego układu między Austro-Węgrami a Włochami.

W końcu zrobił ten delegat dość oryginalną propozycyę, a mianowicie zastąpienia dzisiejszego dualizmu, trializmem, t. j. zrobienia z naszej monarchii państwa austryacko-węgiersko-kroackiego. Trializmu pragnie także młodoczech Kaftan, ale innego niż p. Biankini. Zdaniem p. Kaftana, powinna być nasza monarchia państwem austryacko-węgiersko-czeskiem. Przeciw młodoczechom wystąpił dr. Russ (z lewicy) zarzucając im, że dążąc do pluryfikacyi ustroju państwowego Austryi, tem samem ją osłabiają. Zdaniem p. Russa jest to objaw wielce znamienny, że młodoczesi w tym roku tak starannie unikają nawet używania wyrazu „Rosya“ i mówią o wszystkiem obszernie, nawet o Azyi, tylko nie o Rosyi. Mówca nie sądzi jednak, ażeby to było dowodem zmiany poglądów młodoczeskich na politykę zagraniczną, zwrot ten ma raczej swe źródło w stosunkach wewnętrzno-politycznych. To powolne cofanie się ze stanowiska skrajnej opozycyi ma widocznie na celu tylko zbliżenie się do tych żywiołów, które uchodzą za „regierungsfähig“ w mniejszym lub większym stopniu.

Młodoczech Pacak odpowiedział na to, że z tej okoliczności, iż p. Russ zwraca uwagę ministra spraw zagranicznych na to, że opozycya nibyto się cofa, przebija tylko wielka obawa jego stronnictwa przed tem, iż mogłaby nastać jakaś nowa konstelacya polityczna. Cała treść mowy p. Russa jest właściwie tylko następującą apostrofą lewicy do hr. Gołuchowskiego: „Excelencyo, nam się zdaje, że opozycya chce przyjść na nasze miejsce, bądź jednak ostrożny: my chcemy popierać Ekscelencyę, a nie ta opozycya, która jest przeciw trójprzymierzu“.

„Wszelako—rzekł Pacak — delegat naród czeski dopiero wtedy zeszedłby ze stanowiska opozycyjnego, gdyby stosunki się radykalnie zmieniły i gdyby były pewne podstawy do tego, iż spełnione zostaną życzenia czeskiego narodu co do równouprawnienia autonomii i państwowego stanowiska królestwa czeskiego.“

Delegat p. Suess (z lewicy) wykazywał ogromne znaczenie ostatnich przewrotów w Azyi wschodniej, które są bardzo niebezpieczne dla życia ekonomicznego w Europie. Zdaniem mówcy, nie jest rzeczą dobrą otwierać dla handlu światowego państwa tak bogatego w produkty natury i w tanią siłę roboczą, jak Chiny. Bądź co bądź, czeka nas bardzo niebezpieczna konkurencya, to też państwo powinno coraz bardziej rozwijać siły ekonomiczne ludności.

Minister spraw zagranicznych hr. Gołuchowski wcale nie zabierał głosu w tej debacie, co mu ogólnie chwalono, a referent p. Dumba w ostatecznem przemówieniu podniósł, że minister okazał wielką przezorność, nie zabierając głosu, gdyż kwestye przez delegatów opozycyjnych były tak postawione, iż minister chcąc czy nie chcąc, byłby musiał w swej odpowiedzi wkroczyć także w dziedzinę polityki wewnętrznej, a w takim razie byłby zaraz na początku swej karyery mógł spotkać się z zarzutem, że miesza się w wewnętrzne sprawy jednej połowy państwa.

Ostatecznie przyjęto bez zmiany cały budżet ministerstwa spraw zagranicznych.

Delegacya węgierska na swojem plenarnem posiedzeniu przyjęła budżet marynarki, tudzież wspólnego ministeryum finansów i zamknięcie rachunków za rok 1893.

Następne posiedzenie plenarne delegacyi węgierskich odbędzie się we czwartek.

* * *

W sobotę o godzinie 5 po południu odbył się w Burgu pierwszy obiad delegacyjny, na który z polskich delagatów zaproszeni zostali: J. E. p. Zaleski, Adam Jędrzejowicz, Leon Chrzanowski i Józef Popowski. Nadto był na obiedzie minister spraw zagranicznych hr. Gołuchowski.

Po obiedzie odbył Cesarz cercle i prowadził bardzo ożywioną rozmowę z delegatami. Z p. Zaleskim mówił o pracach parlamentarnych i rzekł iż niezbędnie koniecznem jest szybkie załatwienie budżetu na r. 1895 P. Zaleski odpowiedział, że szybkie uchwalenie budżetu ze strony Koła polskiego nie napotka żadnych trudności.

Z delegatem Popowskim rozmawiał Cesarz dość długo o pracach delegacyi, o jednorocznych ochotnikach, o ciepłej kolacyi dla żołnierzy i o dostawach dla armii. Charakterystyczną była rozmowa Cesarza z delegatem Bianchinim, który w sobotę na posiedzeniu delegacyi austryackiej wygłosił opozycyjną mowę. Cesarz zapytał go: Czy pan po raz pierwszy zasiadasz w delegacyach? Bianchini: Tak jest Najjaśniejszy Panie. Cesarz: Pan zawsze pilnie pracujesz! Bianchini: Staram się robić co możliwe, aby bronić praw mego kroackiego narodu. Cesarz: To jest godne pochwały. Kroaci byli zawsze mojej dynastyi i mnie oddani. Bianchini: Tak jest, potwierdza to historya i zawsze nadal tak będzie.

Międzynarodowe wyścigi w Krakowie.

Kraków 23 czerwca.

(*Trzeci dzień wyścigów*),

Ostatnie dwa dni wyścigów, trzeci i czwarty, w sobotę i w niedzielę odbyły się przy akompaniamencie deszczu. W sobotę deszcz nawet nieco pomógł, gdyż ochłodził powietrze, a podczas samych biegów ustał. W niedzielę za to siekł przez cały czas niemiłosiernie.

W sobotę w pierwszym biegu o nagrodę dam i 1400 koron zwycięzcy, 400 koron drugiemu, 200 koron trzeciemu dla czteroletnich i starszych koni wszystkich krajów, pierwsza przyszła „Gretchen“ p. Władysława Schindlera, drugi „Blasius“ rotmistrza Hoffmana, a trzeci „Simon Renard“ p. Lebaudy'ego. Totalizator płacił 30 za 5 zł.

Drugi, bieg sprzedażny, o nagrodę 1600 zwycięzcy, 400 koron drugiemu, dla koni dwuletnich wszystkich krajów, wygrał „Persano“ p. Jankovich-Besana, drugim i ostatnim, bo dwa konie tylko biegały, był „Zaunkönig“ pani Kodolitsch. Totalizator płacił 8 za 5.

Nagrodę „Wawelu“ 6000 pierwszemu, 1400 drugiemu i 600 koron trzeciemu, dla trzylatków wszystkich krajów, zdobył „Turul“ ks. Auersperga, drugim był „Unser Graf“ p. Scazighiny, a trzecim „Dumbar“ barona Gustawa Springera. Totalizator płacił 8 za 5.

Nagroda „prezesowska“ 3400 pierwszemu, 600 drugiemu koniowi, dla trzylatków z ziem polskich, dostała się „Szlachciance“ hr. Jana Tarnowskiego, jej współzawodniczka „Satanella“ hr. Józefa Potockiego pozostała drugą. Totalizator płacił 18 za 5.

Piąty bieg o nagrodę rządową 4000 kor. dla trzyletnich klaczy krajowych wygrała „See me“, klacz hr. Artura Henckla, wyprzedzając „Chance“ p. Rosé i „Zazulę“ p. Wit. Postruskiego. Totalizator płacił skąpo, bo 7 za 5.

Nagrodę „Wisły“ 1600 pierwszemu i 400 drugiemu koniowi, dla koni wszystkich krajów, rozebrały między siebie ks. Esterhazy'ego „Barat“ jako pierwszy i „Puchner“ p. F. Scazighiny jako 2gi, trzecią była „Schneewitchen“ p. Wł. Schindlera. Totalizator płacił 8 za 5.

Ostatni siódmy bieg o nagrodę Krakowa, 1600 pierwszemu, 400 drugiemu koniowi, wygrał „Csako“ ks. Franc. Auersperga, drugą była „Estrella“ porucz. Ferdyn. hr. Kinsky'ego. Totalizator płacił 15 za 5.

(*Czwarty i ostatni dzień wyścigów*).

Bieg pierwszy handicap o nagrodę resursu, 1600 koron pierwszemu, 400 koron drugiemu koniowi, dla 3-letnich i starszych koni wszystkich krajów, meta 1200 m. zgromadził u startu 7 koni. Zwyciężył mr. C. Wooda 3-letni ogier „Nemoda Buda“, drugą była pani Matyldy Kodolitsch 3-letnia klacz „Princess Mau“, trzecim p. Władysława Schindlera 4-letni ogier „Pirat“. Totalizator płacił 15 za 5.

Nagroda Wandy, 2000 koron zwycięzcy, 400 koron drugiemu koniowi, dla 2-letnich ogierów i klaczy, urodzonych w Galicyi, Królestwie Polskiem, albo Rosyi, meta 900 m. Jana Tarnowskiego (Chorzelów) klacz „Pogoda“, drugą była hr. Józefa Potockiego klacz „Mon Espoir“, trzecim również hr. J. Tarnowskiego ogier „Zawadjaka“. Totalizator płacił 8 za 5.

Nastąpił najważniejszy bieg krakowskich wyścigów o nagrodę 32.000 koron zwycięzcy, 6000 koron drugiemu, 2000 koron trzeciemu koniowi, dla 3-letnich urodzonych na kontynencie ogierów i klaczy, meta 2400 m. Walczyły ze sobą cztery konie. Pierwszym przybył Stad Angerna ogier „Gounod“. Drugą była hr. Tarnowskiego z Chorzelowa klacz „Burza“. Trzecim p. Scazighiny ogier „Gyerköcz“. Totalizator płacił 35 za 5.

Bieg o nagrodę austryackiego jockey-clubu, 3000 koron zwycięzcy, 1500 koron drugiemu, 500 koron trzeciemu koniowi, dla 3-letnich i starszych koni, urodzonych na kontynencie, z wykluczeniem koni francuskich, skończył się zwycięstwem 3-let. og „Egoista“ p. W. Schindlera, drugą była hr. Jana Tarnowskiego 4-letnia klacz „Szlachcianka“, trzecią p. Scazighiny „Volosca“. Totalizator płacił 8 za 5.

W t. zw. Czerwcowym handicapie o nagrodę 1600 koron zwycięzcy, 400 koron drugiemu koniowi, dla koni wszystkich krajów, meta 2400 m. pierwszą była hr. Józefa Potockiego 3-letnia klacz „Sun Beam“, drugim bar. Gustawa Springera 3-letni ogier „Pickerel“, trzecim dra Ernesta Russo 3-letni ogier „Little Tich“. Totalizator płacił 42 za 5.

W „biegu pocieszenia“ o nagrodę 1600 koron pierwszemu, 400 drugiemu koniowi, dla dwuletnich i starszych urodzonych na kontynencie koni (z wykluczeniem koni francuskich), które podczas wyścigów obecnych u startu stanęły, ale nie wygrały, meta 1200 metrów, „pocieszyła“ się przychodząc pierwsza br. Gustawa Springera 3-letnia klacz „Cassata,“ druga za nią zdążyła W. Postruskiego 2letnia klacz „Zazula,“ trzecią mr. Rose 3-letn. kl. „Grand Réserve“. Totalizator płacił 13 za 5.

Zakończyło wyścigi wielkie krakowskie Steeple-chase o nagrodę 4.000 koron zwycięzcy, 1.400 koron drugiemu, 600 koron trzeciemu koniowi. Dla koni wszystkich krajów, meta 4.800 m. Wygrała go ks Fr. Auersperga 5 letn. kl. „Marchen“, drugą była Rob. Lebaudyego 5-letn. kl. „Oliva“, trzecim porucz. br. Rud. Pletzgera 4-letn wał. „Mac Kinley“. Totalizator płacił 8 za 5 zł.

KRONIKA.

Lwów 24 czerwca.

Uroczyste pożegnanie gremium urzędników Rady ministrów z ustępującym prezydentem gabinetu ks. Windischgraetzem odbyło się w sobotę. W imieniu urzędników żegnał księcia radzca dworu p. Jauner. Książę podziękował serdecznie za życzliwe słowa pożegnania, a następnie rzekł: „Przez Najjaśniejszego Pana o wiele po nad zasługę łaską i dowodami uznania po prostu obsypany, ustępuję z urzędu. Panowie wiecie, jak trudno było mi podjąć się go i spełniać. Ustępuję jednak z pełną świadomością, że zawsze według najlepszych sił moich starałem się odpowiedzieć wymaganiom obowiązku“. Mówca zakończył słowami wysokiego uznania dla przymiotów personalu urzędniczego w prezydyum Rady ministrów, podziękował za pełne zaparcia popieranie go w urzędowaniu i prosił, aby go zachowano w życzliwej pamięci. Książę pożegnał się następnie jak najserdeczniej z każdym z urzędników z osobna.

Konkursa. Dyrekcya poczt i telegrafów ogłasza z terminem do 2 lipca br. konkurs na posadę ekspedyenta w urzędzie pocztowym w Łuce małej w pow. skałackim. — Na posadę weterynarza miejskiego z płacą roczną 400 złr. rozpisała konkurs Zwierzchność gminy m. Nowego Targu. Podania należy wnieść do 15 lipca br.

Zmiana własności. Dr. Tadeusz Skalkowski adwokat i poseł na Sejm krajowy kupił od p. Bolesława Augustynowicza dobra Szeptyce w powiecie samborskim za 160.000 koron.

Z politechniki. Kolegium profesorów lwowskiej politechniki uchwaliło powołać na katedę astronomii i geodezyi wyższej w lwowskiej szkole politechnicznej dra Wacława Laskę, docenta wyższej geodezyi w praskiej szkole politechnicznej, autora licznych i cennych prac z zakresu astronomii i geodezyi.

Restauracya Wawelu. Jutro rozpoczynają się już roboty około restauracyi katedry na Wawelu pod kierownictwem prof. Odrzywolskiego. Z powodu podjęcia tak ważnego dla całego narodu dzieła odprawi ks. biskup krakowski nabożeństwo celem uproszenia błogosławieństwa bożego.

Ze stowarzyszeń. Wydział 3 go oddziału arcybractwa N. M. Panny pod wezwaniem św. Stanisława zwołał walne zgromadzenie na 26 b m. do lokalu Czytelni katolickiej.—Tow. politechniczne odbędzie walne zgromadzenie 3 lipca.

Zwiedzenie torfiarni. We czwartek 27-go zwiedzi Tow. politechniczne torfiarnię, zakłady naukowe i fabrykę inżyniera Ibiańskiego w Dublanach. Wyjazd podwodami, przysłanemi z Dublan, o g. 4 po południu u rogatki żołkiewskiej.

Kolej do Dublan. Dowiadujemy się, że projektowana jest na przyszły rok budowa kolei normalnotorowej ze Lwowa do Dublan i rozszerzenie eksploatacyi tamtejszych torfowisk.

Ze sfer przemysłowych. Koncesyi na spółkę akcyjną „Pierwsze gal. tow. akcyjne budowy wagonów i maszyn w Sanoku“ udzieliło ministerstwo spraw wewnętrznych Bankowi krajowemu i p. Kazimierzowi Lipińskiemu.

Z krajowej Rady zdrowia. Dnia 11 bm. odbyło się ukonstytuowanie Rady na nowe trzechlecie: W skład jej wchodzą z ramienia rządu: dr. Józef Merunowicz, jako krajowy referent sanitarny, dalej dr. Adam Czyżewicz, profesor szkoły położnych we Lwowie, Edward Gerard Festenburg, Henryk Kadyi, profesor anatomii w Uniwersytecie lwowskim, Wiktor Opolski, prymaryusz szpitala powszechnego, Hilary Schramm i Oskar Widman, prymaryusz szpitala powszechnego; jako delegaci Wydziału krajowego doktorowie: Emil Merczyński, dyrektor szpitala św. Zofii i Grzegorz Ziembicki, prymaryusz szpitala powszechnego we Lwowie. Przewodniczącym wybrano prof. dr. Adama Czyżewicza, zastępcą jego dr. Wiktora Opolskiego.

Ruch wyborczy. Z Horodenki donoszą: W tych dniach odbyło się w Obertynie poufne zgromadzenie wyborców-włościan, którzy po przeprowadzeniu obszernej dyskusyi uchwalili postawić kandydaturę i podczas wyborów posła na Sejm popierać p. Antoniego Theodorowicza, wicemarszałka naszej Rady powiatowej, właściciela dóbr Żukowa. Za kandydaturą tą oświadczyło się przeszło dwudziestu wójtów gmin okolicznych, którzy mieli sposobność poznać p. Theodorowicza, jako człowieka pracującego bezinteresownie dla dobra ludu, nieszczędzącego swego kosztu, trudu i czasu dla niego. Kandydatura ta ma wielkie szanse powodzenia, gdyż oświadczają się za nią również mieszczanie i inteligencya. Wobec tej kandydatury dr. Daniłowicz, kandydat ruskich radykałów, nie ma w naszym powiecie żadnych zgoła widoków.

Samobójstwo. Wczoraj na Pohulance wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie Feliks Kulikowski, urzędnik manipulacyjny dyrekcyi skarbowej. Przyczyna samobójstwa nieznana.

Charakterystyczne. Praska Kasa oszczędności rozpisała konkurs na posadę praktykanta. Do konkursu stanęło przeszło 600 kandydatów z akademickiem wykształceniem, ukończonych techników i jurystów.

— **Zaślubiny ks Aosty** z księżniczką Orleańską odbędą się jutro dnia 25 b. m. w Kingstone nad Tamizą. W tych dniach udał się do Anglii na tę uroczystość ks Neapolu i hr. Turynu; dwór portugalski reprezentowany będzie przez ks Oporto. Po dopełnionym ślubie nowożeńcy wraz z ks. Neapolu złożą oficyalną wizytę królowej Wiktoryi. W dzień ślubu podpisze król amnestyę dla wszystkich skazanych przez sądy wojenne w Sycylii i Massa Carrarze. Amnestya ma być powszechną. Obrzęd weselny odbędzie się z wielką pompą, gdyż hrabina Paryża nakazała w dniu wesela zniesienie żałoby. Posag księżniczki Heleny został ustanowiony w wysokości 4 milionów franków.

Cesarz o Polakach. Z Wiednia donoszą, że Cesarz przyjąwszy dnia 20 b. m. na posłuchaniu posła Włodzimierza Gniewosza, obszernie z nim mówił o sprawach parlamentarnych. Po kilku łaskawych słowach powitania, zauważył Monarcha, że

---

Feljeton literacki.

„*Janka*“, *powieść współczesna Gabryeli Zapolskiej, u Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1895.*

Lat temu trzynaście, czy czternaście, daty ścisłej nie pamiętamy, pojawiła się powieść nieznanej nam jeszcze autorki, pani Śnieżko-Zapolskiej, p. t. „Małaszka“, a w dwa, czy w trzy lata później zbiorek nowel p. t. „Akwarele“, który zwrócił na siebie uwagę krytyki, a debiutantce literackiej pozwolił stawiać dosyć pomyślne horoskopy. Wprawdzie p. Zapolska nie uderzyła potęgą swego talentu, ale bądź co bądź dopatrywano się w niej jego przebłysków i tuszono sobie, że skoro autorka opanuje swoją rozhukaną fantazyę, skoro nabędzie doświadczenia pisarskiego, a przedewszystkiem, gdy nieokiełznaną intuicyę zastąpi trzeźwą obserwacyą i pilnemi studyami, gdy dojrzeje w niej świadomość etyczna i społeczna, wówczas literatura piękna może pozyskać w niej niepoślednią siłę. Takie nadzieje, mniej więcej powszechnie, pokładano w początkującej autorce. Od tej chwili p. Zapolska nie spoczęła z założonemi rękoma: pisała stosunkowo wiele. Poznaliśmy jej „Kaśkę Karyatydę“, „One“, „Przedpiekle“, „Menażeryę ludzką“, „Szmat życia“, „We krwi“, „Fantazye i drobnostki“, a obecnie ostatni utwór, dwutomową powieść współczesną, „Jankę“. Mamy więc obecnie do czynienia z autorką skończoną, nie zaś wyrabiającą się, z autorką co do której można i należy postawić pytanie, czy pokładane w niej nadzieje ziściła, czy dotrzyma tego, co zapowiadała?

Odpowiedź nasza brzmi krótko: Nie! stanowczo nie!

Pani Zapolska zachowała wszystkie swoje pierwotne wady, z tą tylko różnicą, że przybrały one cudaczniejsze rozmiary i stały się jej manierą. Wszystkie postacie, typy, charaktery, wreszcie sytuacye, jakie spotykaliśmy w utworach pani Zapolskiej, nie są płodami trzeźwej obserwacyi, nie były przemyślane, ani psychologicznie usprawiedliwione, lecz wprost powstawały w fantazyi, której za czynnik służyło to, co Jeż trafnie nazwał: „przedrzeźnianiem Zoli i jego koryfeuszów“. Hetman francuskich naturalistów daje wprawdzie ludzi chorych, a normalnych, ale bądź co bądź prawdziwych i żywych. U p. Zapolskiej są to niby bestye apokaliptyczne, w których wszystko jest bezkształtne, przedrzeźnione, wykoszlawione, tak, że rzeczywistych rysów, prawdy i życia dopatrzeć się niepodobna.

Inaczej też być nie mogło, gdyż autorka ma swoją, zgoła odrębną, a opaczną socyologię, etykę, patrzy na świat i ludzi przez okulary uprzedzenia, a w swojej obserwacyi, jeżeli w ogóle do niej się uciekała, posiada jakby trzecie oko, którem widzi to, czego nie spostrzeże żaden inny śmiertelnik.

Przedewszystkiem u pani Zapolskiej porządny człowiek rozpoczyna się od pierwszej dziury w surducie lub butach. Kto zaś tego patentu nie posiada, musi być kretynem, idyotą, egoistą, łapigroszem, łotrem, jednem słowem jakimś uciekinierem z menażeryi spodlonych. Kobieta uczciwą staje się dopiero po upadku i wtedy p. Zapolska otacza ją aureolą męczennicy, ofiarą przesądu, uprzedzenia, podłości lub zwierzęcości. Po za tem zna autorka tylko lalki, gęsi, hipokrytki i wogóle jakieś bezduszne lub płaskie istoty. Czasami p Zapolska chwyta za dyscyplinę moralności, ale wtedy kochającej żonie każe mieć wiarołomnego męża, a przywiązanemu małżonkowi ladacznicę żonę, usiłuje nadto dowieść, że w ogóle normalna cnota, czyli cnota, wypływająca czy to z obowiązku, czy z uczucia, czy z kodeksu etycznego, zawsze bywa najsromotniej sponiewieraną, a tryumf przypada występkowi lub przewrotności. W rysunku swoim nie zna tonów łagodnych, pośrednich, nie zna zgoła cieni, natomiast lubuje się w jaskrawości i drastyczności. Najprostszy wypadek, — najzwyklejsza sytuacya musi być co najmniej wtłoczona w potworne ramy. Biedny czytelnik częstokroć przekopać się nie może przez te odmęty gnoju, błota, krwi, — któremi kroczyć mu każe pani Zapolska.

W przedmowie do „Kaśki Karyatydy“ autorka zapewnia swoich czytelników, że szuka prawdy, daje prawdę, a powieści swojej nie pisze dla tych, „co lubią prawdę nakręcać do swoich upodobań“, lecz „dla poczciwych, bo ci się prawdy nie zlękną“.

Zdaje się, że to hasło powszechnie stosowane przez autorkę do jej utworów i że to, co powiedziała o swojej Kaśce, powtórzy także i co do „Janki“. Otóż, niechcąc być posądzeni o gołosłowne lub tendencyjne zarzuty, weźmy książkę do ręki i przekonajmy się *in anima vili*, jak to p. Zapolska widzi, pojmuje i przedstawia prawdę.

P. Władysław de Podół Podolski należy do tych sfer, wśród których autorka spotyka zazwyczaj same potwory. Ten nie stanowi wyjątku od reguły, poznajemy go więc na wstępie jako potwornego ojca, który pogardza swemi córkami, Janką i Polą. Dlaczego? Dlatego, że są tylko córkami i imienia Podolskich rozmnożyć nie mogą, więc obchodzi się z niemi, jak pierwszy lepszy ordynus, sadza przy stole zdala od siebie, pozwala jadać na ceracie (sic) wtedy, kiedy przed nim rozpościerają obrus, wreszcie karmi je mniej więcej stale cynadrami i marchwią. Ofiary tak pojętego i przedstawionego nam przez p. Zapolską okrucieństwa, tłumią dławiący ich gardła gniew, lecz buntu podnosić nie mają odwagi.

P. Podolski ma jednak syna, Justyna, który jako jedyny spadkobierca po mieczu fortuny i nazwiska, cieszy się zgoła innemi względami ojca. Tymczasem pewnego pięknego poranku, ni stąd ni zowąd, miły papunio oznajmia swemu gagatkowi, że pieniędzy na papierosy dawać mu nie będzie, krawca płacić nie myśli i t. d., w ogóle bierze go na post pieniężny. Justyn odpowiada bardzo słusznie, iż będzie zmuszony w takiem położeniu zaciągać długi. „Tak! poczekaj“ — woła, trzęsąc się od gniewu pan de Podół-Podolski i na drugi dzień zjawia się w pismach warszawskich ogłoszenie, zapowiadające, że weksli syna płacić nie myśli, te zaś, które są podpisane jego nazwiskiem, są fałszywe i posiadaczy ich zaprowadzą do kryminału. Justyn, odczytawszy taką zapowiedź, najpierw upada na ziemię. U p. Zapolskiej każde silne wrażenie w ten sposób się objawia i dlatego, w ciągu powieści, co chwila ktoś upada, a dla odmiany czasami dostaje torsyj konwulsyjnych. Powstawszy z ziemi, syn opuszcza dom rodzicielski, „idzie nocować w Łazienkach“, ojciec zaś najspokojniej oznajmia, że „nie ma już dziecka“.

Zaiste, można konia z rzędem ofiarować temu, kto się w tej całej wstępnej opowieści dopatrzy choćby cienia prawdy! Lecz idźmy dalej.

Wypędzony z domu Justyn, niedołęga, samolub i kretyn, sprowadza się na kark swemu korepetytorowi, Kuniewiczowi, którego autorka przeznaczyła na typ dodatni i bohatera powieści.

Ciekawe, doprawdy, zobaczyć, jak wyglądają bohaterowie p. Zapolskiej.

Otóż ów Kuniewicz, niby alchemik średniowieczny, smaży pod czaszką jakieś wielkie idee, ale ukrywa je tak skrzętnie, że czytelnik w ciągu całej powieści nawet w przybliżeniu domyślić się nie może, jakie? Z tej wielkiej, rozczochranej głowy ma kiedyś wyjść potężna reforma, jak zaręcza autorka, ale tobie, czytelniku, nie wolno wiedzieć, czy to będzie reforma socyalna, etyczna, artystyczna lub inna podobna, tobie wystarczy zadowolnić się tem, że ów słomiany geniusz coraz więcej blednie i coraz częściej kaszle.

Nie lepiej ma się ze szlachetnością p. Kuniewicza. O! tak szlachetnym jest on, że aż mrowie przechodzi, co mu nie przeszkadza wcale ściągnąć Janki do Paryża, która nb. lgnie do niego od pierwszej chwili i rzucić ją samą, bez żadnej opieki, ani rady, ani wskazówki, na pastwę najbardziej wyrafinowanej nędzy, nie troszcząc się o nią wcale, ani nawet zdala nie śledząc, czy wśród walki z biedą i pokusą nie legnie i nie zmarnieje. Czasami, jak *Deus ex machina*, zjawia się Kuniewicz, ale po to tylko, aby Jankę gnębić i maltretować, aby gasić w niej każdą iskierkę otuchy i wiary. Ale p. Kuniewicz zawsze jest szlachetny, bo w tej okrutnej roli przyświeca mu cel szlachetny — chce on odrodzić i uszlachetnić Jankę — przez nędzę!

Autorka, jakby chcąc się popisać ze swoją bogatą obserwacyą, przeprowadza Jankę przez istne piekło dantejskie nędzy, występku, ohydy i upodlenia. Więc lokuje ją u zidyociałej bigotki i każe być świadkiem ustawicznych awantur z mieszkającym w tym domu waryatem, który nb. pod zaklęciem p. Zapolskiej, mówi bardzo pięknie i rozsądnie. Wlecze Jankę po różnych sklepach, kramikach, pracowniach, gdzie daremnie szuka zarobku lub doznaje sromotnego rozczarowania. W antraktach zwiedza z nią dom waryatów, przytułek położniczy, *maison rouge* (zbiorowisko najistotniejszych łotrów paryskich). Pomijamy już doraźne sceny i wypadki, pełne wstrząsającej ohydy. Nie dosyć na tem, p. Zapolska nie tak łatwo zadawalnia się wszelkiemi okropnościami, umieszcza ona swoją bohaterkę jeszcze w domu noclegowym, gdzie poleca jej myć nogi i bandażować rany wszelkiego rodzaju włóczęgom.

Kuniewicz wreszcie oznajmia, że Janka jest już dostatecznie uszlachetniona, ale to powiedziawszy, przenosi się w lepsze światy, a dla bohaterki naszej rozpoczynają się nowe perypetye. Więc pogrzeb ukochanego, utrata zmysłów na jego grobie, zkąd ją nieprzytomną na drugi dzień sprząta służba cmentarna i odwozi do jednego z zakładów psychopatycznych, gdzie służy jako medyum do doświadczeń hypnotycznych, będąc jednocześnie świadkiem różnych ataków, halucynacyi i innych t. p. nadzwyczajności histeryczek, neurasteniczek itd.

Wreszcie przychodzi chwila wyzwolenia. Ojciec dowiaduje się o pomięszaniu zmysłów Janki, posyła po nią swego przyjaciela, Biernickiego, który ją przywozi do Warszawy. Ale Janka jest waryatką, bo choć przytomnie mówi i doskonale rozumie, co się około niej dzieje, wszyscy ją jako taką uważają; więc wprost z kolei p. Zapolska prowadzi ją do zakratowanej izby, gdzie zostaje zamknięta sama jedna wśród czterech ścian. Osobiście odwiedza ją, przynosząc miskę marnej strawy, stary służący i płacze nad dolą swojej panienki. Przez niego dowiaduje się ona o konaniu Justyna, którego pogrzeb widzi tylko z poza kraty. Śmierć ojca przynosi jej dopiero wyzwolenie. Wtedy klęka przed krzyżem i z właściwym sobie patosem mówi, n. b. po łacinie: *Adveniat regnum tuum!*

Oto w głównych zarysach fabuła „Janki“. Przypuszczam, że w tem treściwem zestawieniu mogę być posądzany o przesadę. Odsyłam więc do książki, choć z góry winienem przestrzedz, że pomimo tych wszystkich okropności, wieje z niej tak straszna nuda, iż trzeba wielkiej cierpliwości, aby dobrnąć do końca.

I znowu pytać wypadnie, gdzie tu owa prawda, której jedynie szuka p. Zapolska? Autorka tak dalece zatraciła jej poczucie i wpadła w karykaturalną manierę że nawet w scenach arcy-dramatycznych, zamiast wstrząsnąć, pobudza do śmiechu. I tak n. p. Justyn kona, nb. trawią go suchoty... przestał oddychać. Umarł — woła ojciec. Pada, jak zwykle na ziemię. Po chwili zrywa się „z krzykiem zbuntowanego zwierza“, chwyta trupa w swoje

Izba teraz już długo pracować nie będzie i że głównie tylko o uchwalenie budżetu się rozchodzi. Gdy p. Gniewosz odpowiedział, że młodoczesi już pewnie zaniechają obstrukcyi i że lewica niemiecka niewątpliwie głosować będzie za przyjęciem budżetu z wyjątkiem naturalnie pozycyi na gimnazyum w Cylei, w której to sprawie zanadto się zaangażowała, Monarcha powiedział: Tak, za daleko się posunięto; dzienniki wiele się do tego przyczyniły. Po uwadze p. Gniewosza, że najczęściej gazety podbudzają wyborców, a ci pod tym wpływem napierać zaczynają na posłów, wprowadzając ich w przymusowe położenie, — mówił Monarcha o pomniejszych przedłożeniach, które Izba ma jeszcze w ciągu bieżącej sesyi załatwić.

Gdy przyszła rozmowa na reformę podatkową i poseł Gniewosz zaznaczył, iż ona na dłuższy czas odroczona, a zarazem dodał, iż chociaż inne stronnictwa są przeciw niej, Polacy głosować będą za nią tak, jak za innemi przedłożeniami, które są potrzebne do rozwoju i dla dobra państwa, — Cesarz rzekł z naciskiem, tonem serdecznym: *Ja polegam zawsze na Polakach* Po zapewnieniu p. Gniewosza, iż Polacy nie wzdragają się przed ofiarami dla państwa, Cesarz serdecznie go pożegnał.

Morderstwo i samobójstwo. Franciszek Górecki, 21letni murarz, mieszkający we Lwowie, postanowił odebrać życie sobie i swej narzeczonej 17letniej słudze Franciszce Gadomskiej. W tym celu w nocy z piątku na sobotę napił się kwasu azotowego i namawiał Gadomską, aby ona również kwasu się napiła. Gdy Gadomska tego uczynić nie chciała, Górecki pochwycił ją za ręce i przemocą nalał jej kwasu w usta. W sobotę oboje wśród okropnych męczarni zakończyli życie. Górecki, przesłuchany przed śmiercią, podał, że do tego rozpaczliwego czynu skłoniła go niechęć do życia; swoją narzeczoną zaś zmusił do napicia się kwasu dlatego, że kochając ją bardzo, nie chciał się z nią rozłączyć, lecz pragnął z nią połączyć się w grobie.

Pojedynek artystyczny. Sara Bernhardt i Eleonora Duse, dwie najsłynniejsze dziś obok Modrzejewskiej artystki dramatyczne, wystąpiły prawie równocześnie w roli Magdy z „Gniazda rodzinnego" przed publicznością londyńską. Rola Magdy od kilku lat była jedną z najlepszych kreacyi włoskiej artystki, podczas gdy Sara Bernhard odtworzyła tę rolę po raz pierwszy tej zimy. Rywalizacya więc dwóch równie znakomitych artystek była niezmiernie interesująca, a skończyła się tem, że prasa londyńska oddała palmę pierwszeństwa Sarze. Krytycy angielscy utrzymują, że Duse jest naturalniejszą i gra z większem uczuciem, lecz zarazem twierdzą, że w dramacie Sudermana chodzi więcej o brutalną siłę i patos, a tym warunkom odpowiedziała Sara. Ten pojedynek artystyczny dziwnie splata się z faktem, że jutro na naszej scenie odtworzy rolę Magdy trzecia genialna jej interpretatorka p. Modrzejewska, która tak nieporównanie łączy w sobie siłę dramatyczną z naturalnością i wdziękiem.

Powstanie w Macedonii. Pod powyższym podniecającym tytułem dzienniki bułgarskie donoszą co następuje: Ludność Macedonii powstała w trzech miejscowościach przeciw rządowi tureckiemu i stoczyła walkę z tureckiemi wojskami. Główny ruch powstańczy panuje w powiatach Egri-Palanka, Koczan i w części powiatu Sztip, zamieszkanego przeważnie przez Słowian. Wieś Istibanię w powiecie koczańskim spalili powstańcy do szczętu. W walkach stoczonych z wojskami tureckiemi padło ośmiu powstańców, a 23 żołnierzy. Naczelnikiem powstania ma być niejaki Mikołaj Gerojki. Komitet macedoński w Sofii oświadcza, iż nic o powstaniu nie wie, a zarazem dodaje, iż on Macedończykom zawsze odradzał zbrojnego powstania, gdyż miał nadzieję, że państwa europejskie zajmą się Macedonią i wpłyną na rząd turecki, aby zaprowadził w niej pewne reformy, któreby uspokoiły niezadowolnionych jej mieszkańców.

Porta w sprawie zaburzeń w Macedonii wystosowała do rządu bułgarskiego energiczną notę. Podnosi w niej, iż główną przyczyną wszystkich niepokojów w Macedonii jest komitet macedoński, istniejący w Sofii, który przez rozmaitych emisaryuszy podburza Macedończyków i nakłania ich do zbrojnego powstania. Porta żąda, aby rząd bułgarski komitet ten rozwiązał. Na dowód swych twierdzeń przytacza nota turecka ten fakt, iż żandarmom tureckim udało się schwytać czterech emisaryuszy, wysłanych przez sofijski komitet macedoński, którzy agitowali w Macedonii.

Z Sofii donoszą, że rząd bułgarski nie uczyni zadość żądaniu Porty, gdyż nie ma żadnego powodu do występowania przeciw macedońskiemu komitetowi. Zdaniem rządu sofijskiego bowiem Porta nie dostarczyła żadnych dostatecznych dowodów na to, iż owi czterej emisaryusze w istocie wysłani zostali przez sofijski komitet macedoński. Mogli to być czterej zwykli rabusie, którzy tylko dla zamaskowania swych czynów przybrali na siebie maskę politycznych emisaryuszy. Póki więc rząd sofijski nie będzie miał namacalnych dowodów, iż komitet macedoński przekracza zakres swych statutów i bierze czynny udział w podburzających agitacyach w Macedonii, póty nie może wystąpić przeciw temu komitetowi i musi na notę turecką odmowną dać odpowiedź.

Telegramy z Sofii donoszą, iż wiadomość o powstaniu w Macedonii jest nieprawdziwą. Przyszło tam tylko do starcia między oddziałem wojska tureckiego a bandą rabusiów.

Zmarli. Paweł Kostka, radca rachunkowy przy sądzie krajowym, umarł w Krakowie.

Stan powietrza. T. o 8 rano +15° R. w poł. +16 R. Bar. 763. Spada. Deszcz.

Na ulicy

Fiunio: Wpadła mi do głowy świetna myśl!

Lunio. Biedactwo! Jakże jej tam nieswojsko!

Odpowiedź Redakcyi. *Wp. O. Trzciński w Słupkach, p. Borki wielkie.* Wiadomość o wynalazku Meuniera znaleźliśmy w dziennikach francuskich, ale adresu wynalazcy nie znamy.

Teatr. Dziś w poniedziałek nie ma przedstawienia. We wtorek „Gniazdo rodzinne", sztuka w 4 aktach Sudermana, gościnny występ p. Heleny Modrzejewskiej. W środę „Podróż naokoło ziemi", widowisko sceniczne w 14 obrazach Verne'go,

Literatura i Sztuka.

* **Pani Helena Modrzejewska** wystąpi w tym tygodniu cztery razy. Repertoar obejmuje rolę Magdy z „Gniazda rodzinnego", o którą niedawno stoczył się w Londynie pojedynek artystyczny pomiędzy Sarą Bernhardt i Eleonorą Duse; rolę Łucyi z „Naszych najserdeczniejszych" i nieśmiertelną kreacyę lady Macbet. Po raz pierwszy wystąpi p. Modrzejewska w niegranej jeszcze u nas komedyi szekspirowskiej „Wieczór trzech króli". Wszystkie dotychczasowe występy miały ogromne powodzenie, a wczoraj po pierwszym akcie „Odetty" publiczność zasypała znakomitą artystkę kwiatami.

* **Teatr.** Rola tytułowa w znanej tragedyi Schillera „Marya Stuart" posiada niezawodnie wszystkie warunki, które pozwalają talentowi Modrzejewskiej wznieść się na wyżyny artystycznego mistrzowstwa. Tyle razy już pisano i tyle razy widziano Modrzejewską w „Maryi Stuart," a zawsze zachwyt grą wielkiej artystki dochodzi do kulminacyjnych granic, zawsze łzy i płacz w sali teatralnej towarzyszą ostatniej scenie nieszczęśliwej królowej, gdy idzie na szafot i zawsze „Marya Stuart" ściąga liczną publiczność i nazywa się w gwarze teatralnej „sztuką kasową". Tak było i w sobotę, na czwartym z kolei występie pani Modrzejewskiej i tak będzie długo jeszcze, dopóki rola tytułowa pozostanie w rękach takiej mistrzyni. Wiele sztuk bez żadnej wartości literackiej, takie „Damy kameliowe," „Adryanny" itp. utrzymują się w repertuarach teatralnych tylko dzięki jednej roli głównej, a właściwie grze w tej roli takich artystek, jak Modrzejewska, Sara Bernhardt i Duse, ale „Marya Stuart," znakomite dzieło dramatycznej literatury niemieckiej, od czasu sławnej włoskiej artystki Ristori, która już dziś zeszła z pola, znalazła dopiero przedstawicielkę w wielkim stylu artystycznym w Modrzejewskiej, zatem dziś tylko scena angielska i polska mogą się pochlubić Maryą Stuart, bo tu i tam gra ją Modrzejewska. Na francuskich scenach wcale nie grają tej tragedyi, a na niemieckich rzadko, teraz przynajmniej, i to głównie dlatego, że nie ma odpowiedniej przedstawicielki dla królowej Maryi.

Otoczenie głównej roli musi być zawsze staranne ze względu na poważny charakter dzieła, na jego poetycką wartość i na wyniosłą postać królowej, której rola nie powinna być zaciemniona najmniejszym nawet źle odegranym epizodem. Królowę Elżbietę wszędzie, i u nas, grała zawsze artystka *par excellence* dramatyczna, nigdy charakterystyczna. Grała ją u nas dawniej Aszpergerowa, potem Nowakowska, dziś w obecnym personalu powinna grać pani Żelazowska, rola ta bowiem wymaga silniejszego akcentu dramatycznego i odpowiedniej indywidualności artystycznej. Pani Cichocka, artystka bardzo utalentowana, która jest ozdobą i nieocenioną siłą lwowskiej sceny we właściwym wydziale ról, nie powinna grać Elżbiety. Dziwimy się, że postać mściwej królowej angielskiej w młodszych artystkach budzi pewne skrupuły i drażliwości na punkcie osobistych wdzięków i młodości, bo Elżbieta wcale nie była starszą od Maryi, i była kobietą ładną, o czem nawet Schiller w toku tragedyi wspomina. Zresztą, młodość jest bez wątpienia skarbem niezmiernie cennym, a pielęgnowanie jej zawsze będzie pobudzać w kobiecie troskliwość o to, co musi się skończyć, ale w artystce młodość, świeżość życia, krewkość temperamentu wnosi siłę do postaci chwiejących się od starości. Artysta, którego życie przywaliło swoim ciężarem, nie potrafi już być starcem na scenie... a dlatego właśnie, że się jest młodym artystą, potrafi się być starym człowiekiem na scenie... Swoją drogą p. Cichocka z talentem zdolnej i rutynowanej artystki odegrała swoją rolę i dowiodła że aktorka tej miary żadnej roli nie zepsuje, choćby ona daleko leżała po za właściwym wydziałem jej ról. Z dalszego otoczenia podnieść należy silnie i z dobitnym akcentem dramatycznym odegraną rolę Mortimera (p. Żelazowski) oraz bardzo staranną grę pp. Chmielińskiego, Hierowskiego, Ruszkowskiego, Kliszewskiego, Otrembowej, Rybickiej, Kiczmana i innych.

Iks Ypsylon.

Listy z podróży.

(Dokończenie).

Tarascon.

Wszędzie niemal u drzwi głównych zamiast dzwonków—młotki. Ulice szersze dopiero od strony mostu i rzeki. Prowadzą one na bulwar, ciągnący się wzdłuż Rodanu. U tego bulwaru, z którego widok istotnie piękny na szeroki Rodan, na most wiszący, na przeciwległy Beaucaire z ruinami — dwie baszty potężne. To szczątki zamku Ireneusza Andegaweńskiego; obecnie tam więzienie, w którem żadnych zabytków średniowiecznych nie pozostało. Tuż u byłego zamku kościół św. Marty, piękny bo stary, z misternie ozdobionem wejściem w gotyckim stylu. W podziemiach kościoła mało ciekawy, bo zupełnie przerobiony grobowiec ś. Marty. Dokoła kościoła białe akacye w pełnym kwiecie na placyk cały, cichy, słoneczny, rzucają woń odurzającą niemal. Ulice niektóre brukowane drobnym kamieniem, niektóre ubite żwirem, lub jak szosa, tłuczoną skałą kredową, jakimś rodzajem biało-żółtego piaskowca, co za wiatru podmuchem w kurz rozpyla się niemiłosierny.

Dużo charakteru włoskich miast ma Tarascon.

Samo południe. Słońce smali jak ogniem. Promienie, odbite od białości, żółtości i szarości ulic i domów, oślepiają. Senna cisza leży dokoła. Wiatr zrywa się od czasu do czasu i niesie olbrzymie tumany białego kurzu, zasypując niemi drzewa, krzewy nieliczne, werandy kawiarń, tak, że wszystko dokoła, nie wyłączając rzadkich przechodniów, pokryte grubą warstwą kredowego kurzu, z którego otrzepać się trudno. Z paska wązkiego cieniu, leżącego u domów samych, aż strach wysunąć się na środek ulicy, w słoneczną tę spiekotę. Osłoniwszy oczy ciemnemi szkłami a siebie parasolem, suniemy się naprzód. Hen, na placyku odezwało się właśnie przeciągłe dzwonienie. To restauracye hotelowe wzywają na śniadanie.

W sali prawie ciemno zupełnie; w dzień słoneczny nikomu się tu nie śni okienic, żaluzyowych odmykać.

Kilka osób z „wykwintniejszego" taraskońskiego towarzystwa już zasiadło przy stolikach. Kuchnia *pur sang* — prowancka. Warto doprawdy jej się przypatrzyć.

Oto właśnie opodal, tęgi, pyszny Taraskończyk, osobistość widocznie znana i poważana, bo ściskał się z gospodarzem i dobrotliwie przyjmował ukłony uniżone garsona, zabrał się do śniadania. „Hors-d'oeuvres": rzodkiewki, „surowy" bób w strączkach i „surowe" karczochy! Nalewa się na talerz nieco octu i oliwy, macza się w tem surowy bób i listki surowych karczochów i — smacznego apetytu! Po tych specyałach, szklanka wody mineralnej, bardzo w całej Francyi wziętej (St. Galmier).

Dopiero następuje czysto południowo-francuski smakołyk: tak zwana „bouilabesse". Na półmisku kawałki ryby gotowanej w szafranowej podlewie, z pieprzem, a następnie duszonej w oliwie zaprawionej czosnkiem, do tego sos bardzo płynny, tak pachnący, że trudno nawet skombinować, jakie doń wchodzą zaprawy, a w sosie tym pływające kawałki bułki; tą tłustą niezmiernie, wonną i silnie korzenną cieczą zalewa się rybę szafranową i czosnkową i — znów smacznego apetytu! W Bernie narodową potrawą jest t. zw. „garbure", zupa gęsta z kapusty, rodzaj naszego kapuśniaku, z dodatkiem kaczki, na kawałki krajanej. Niesmaczna, bo strasznie tłusta, ale możliwa. Do „bouilabesse'y" nie tak łatwo przywyknąć. Po niej już — picie wina. Butelka „Château-du-Pape" (Avignon w sąsiedztwie) wystarczy. Następnie baranina z kaparami. Potem jeszcze jakie mięso i — szparagi „na zimno" znów do octu i oliwy, które zapija się — wodą. Śniadanie kończy deser. Na rodzaju bardzo dobrych „albertów" czytam napis, wyciśnięty na każdym suchareczku: „Le Franco-russe". Wyrabia te smakołyki „narodowe" pan H. Prunet w Marsylii. W Tarasconie figurują one codzień u stołu.

Zacny Taraskończyk spożył od A do Z całe menu, wypił butelkę wody mineralnej, butelkę wina, pochłonął całą ogromną bułkę, może z łokieć długości mającą a cali ze trzy szerokości, zakąsił pomarańczą, talerzem poziomek z mlekiem i nie odsapnąwszy nawet po takiem „hygienicznem" śniadanku, powędrował — do kawiarni.

Do kawiarni rozumie się pana Viaud'a.

Trzy są bowiem główne „café" w Tarasconie, a każdy ma swoją publiczność. Wojskowi (200 ludzi garnizonu) uczęszczają do „Café de l'Univers", stan średni miejskiej ludności do „Café du commerce", a zaś „les notabilités de la ville" do „Café Viaud".

Wszystkie trzy kawiarnie, jak i kilka mniejszych, przy „Promenadzie".

Godzina to właśnie nieodzownej dla każdego Francuza najmilszej siesty: między 2-gą a 4-tą po południu. Godzina to „partyjki" w kawiarni, gawędki ze znajomymi i trawienia; godzina to wreszcie ulubionego „absyntu".

W Café Viaud płótno żaglowe rozpięte stanowi sufit werendy, szereg jakichś krzewów, w beczkach rosnących, jej ściany. Jedna sala i jeden garson. Najwykwintniejsze towarzystwo taraskońskie w komplecie. Przy jednym stoliku kilku panów gra w domino; przy innym ciągnie się długa partyjka — lotto. Kolejno partnerzy wyciągają numery, znacząc je na swoich tabliczkach. Gra zdaje się wielce zabawiać towarzystwo. Ichmościów kilku przysiadło się do zamaszystego jakiegoś pana, żywo opowiadającego, sadzącego szerokiemi gestami. Miałżeby to być Tartarin redivivus? Czyżby i ten wybierał się na lwy i tygrysy!... Twarze wszystkie ogorzałe, postaci tęgie, ruchy żywe, słowa głośne. W rękach najczęściej: *Le petit Marseillais*, albo *Le Provençal*, albo *Le Méridional*. Jest też i organ miejscowy; wychodzi trzy razy na tydzień, ale nikt się z nim nie liczy.

Na „Promenadzie" cisza wielka. Pusto. Słońce dopieka. Po kawiarniach tylko widać trochę ludzi. Od czasu do czasu ulicą od Rodanu wwala się potężny tuman kurzawy i „Promenadą" przelatuje mimo nas.

— C'est le mistral, n'est-ce-pas? — pytam rozwalonego na krzesełku garsona, co za pan-brat ze wszystkimi tu być się zdaje.

— Mais oui, monsieur — odpowiada mi z pewną dumą — on tu dmie przez rok cały silniej lub słabiej. Oho — dodaje — to nasz dobrodziej; wywiewa nam z miasta całe złe powietrze. Dzięki mistralowi, nie mieliśmy tu żadnej epidemii... A wreszcie, o! jak dobrze robi taki wietrzyk!...

I garson mój wystawia się cały na nowy prąd wiatru, co wpada właśnie pod werendę, wydyma płótno u góry, gdyby żagiel jaki, chybota krzewami w beczkach, zrywa z głowy kapelusze, zasypuje szklanki nam białą kurzawą.

Ciekawość zajrzeć, co się o tej porze właśnie dzieje na innych ulicach. Przechodzę miasto z końca w koniec. Jak wymarło; okienice zamknięte; sklepiki nieliczne pozamykane; wielkie, ciche cienie leżą pod domami, a wielkie, gorące smugi światła środkiem wązkich uliczek. Na placyku, gdzieś na skrzyżowaniu dwóch ulic, rozwieszona na sznurach szeleści bielizna, świeżo prana; osiołek wałęsa się po placyku i skubie trawę, wyrastającą z pomiędzy bruków. Wysoko nademną jasne, błękitne, bez chmurki żadnej niebo...

Wieczorem dopiero, przed samą godziną obiadową, około siódmej ożywia się znów miasteczko. Wylęga osób sporo na „Promenadę" i rozsiada się po ławkach. Wtedy pod platanami przeciągają parami, czasem po kilka, wziąwszy się pod rękę, taraskońskie damy. Mieszczaneczki to tutejsze w charakterystycznych swoich wstęgach na głowie. Śliczny typ kobiecy, o regularnym profilu i pięknych oczach. Wszak to Arles niedaleko. a Arles najsłuszniej w świecie słynie z najładniejszych na Francyę całą kobiet. I wogóle przyznać trzeba, że czem jak czem, ale pięknemi kobietami południe Francyi poszczycić się może.

Słońce schodzi coraz niżej; już tylko gdzie niegdzie kładzie jasną plamę na płaskie dachy i wierzchołki kominów wyzłaca. Ostrożnie, powoli rozchylają się tu i owdzie żaluzye; coraz więcej osób wylęga na ulice; przed domy wynoszą krzesła i rodziny całe rozsiadają się u progu, gawędząc ze sobą głośno — przez ulicę. Tarascon używa najmilszej dnia pory: oddycha.

Jegomość jakiś, poważnej tuszy, wyjeżdża poważnie, zataczając się nieco na welocypedzie, na sam środek „Promenady". Przyjmują go powszechne wiwaty. To nasz znany radzca miejski i właściciel pierwszego w mieście sklepu kolonialnego egzercytuje się na stalowym swym rumaku. Ten i ów wysuwa się z kawiarni, aby zobaczyć, jak się też dzisiejsza próba panu radzcy powiedzie. Przystają ludziska i pokazują sobie jeźdźca palcami. Pan radzca tymczasem zatoczył się silniej, zachwiał — i leży już oto tam na ziemi przed apteką, a kurz dokoła trzepocącego się wzbija gęstym tumanem. Dopiero śmiech... kumoszki aż biorą się za boki, a garson z kawiarni pędzi na ratunek; kilku uliczników wrzeszczy w niebogłosy.

Radzca dźwignął się przy pomocy nadbiegłych znajomych; prowadzą go pod ramię do domu. Toż dopiero gawęd będzie co niemiara i dziś i jutro jeszcze!

Powoli zaczynają światła błyskać w oknach. Godzina obiadowa. Znów coraz puściej w coraz ciemniejszych ulicach. Wiatr przycichł. W białą ulicę wychodzę, hen, na most rodański. Wielka, majestatyczna rzeka toczy się podemną. Na przeciwległym brzegu z cieniów nocnych wybłyskują światełka Beaucaire'u i na tle nieba stoi czarna sylweta tamtejszego zamku.

Przechodzień jakiś drepce szybkim krokiem po moście; zapóźnił się widocznie i tam gdzieś w wązkiej uliczce Tarasconu, w białym domku o zielonych okienicach, czekają nań niecierpliwie z obiadem żona i dzieci.

Zawracam i idę w ślad za nim — i mam przez chwilę wrażenie, jakbym ja sam do domu śpieszył, jakbym i ja za chwilę ze „swoimi" miał się witać.

A gdy u zejścia z mostu, na skrzyżowaniu ulic, rozstać się nam przychodzi, patrzę długo, długo za nim, za tym nieznajomym, śpieszącym się jegomością i — zazdroszczę mu... czego? — z pewnością nie współobywatelstwa z Tartarinem, ani „bouilabaise'y".

Część ekonomiczna.

Wiedeń 22 czerwca.

(Z) Obecny okres giełdowy różni się zasadniczo od letnich okresów lat poprzednich. Zawsze bowiem o tym czasie rozmiary zobowiązań malały do minimum, wielcy finansiści na kilka tygodni zapominali o giełdzie i przez cały czas pobytu w kąpielach nie mieli z nią żadnych stosunków, teraz zaś rozjeżdżają się wprawdzie jak co roku, ale wszystkie swe zobowiązania giełdowe utrzymują nadal. Skutkiem tego także drobniejsi spekulanci nie pozbywają się swoich papierów, lecz płacą bardzo drogi report, ażeby tylko utrzymać je przez lipiec.

W rezultacie zatem nie ma w tym roku sezonu ogórkowego na giełdzie. Fantazyę spekulacyjną podnieca bowiem tak wybitnie pokojowa mowa cesarza niemieckiego w Hamburgu i sprawa konwersyi konsoli pruskich. Wszyscy oczekują w najbliższym czasie ważnych wypadków finansowych, to też starają się choćby z pod ziemi wydobyć pieniądze i nie schodzić z pola. Najważniejszym wypadkiem ostatnich dwóch dni jest znaczna haussa papierów górniczych, która wzięła początek z targu berlińskiego, skutkiem pogłoski o znacznych obstalunkach okrętów, które Japonia niebawem ma porobić w warstatach niemieckich.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 407·80, węgierskie 493·—, Anglobanki 172·90, Uniony 349·—, Bankvereiny 168·20, Länderbanki 284·—, Ludwiki 222·40, Czerniowieckie 328·50, Elbethale 300·—, Renta papierowa 101·05, srebrna 101·30, austryacka złota 123·05, 4% austr. renta wal. kor. 101·50, węgierska złota 123·40, 4% węgierska renta wal. kor. 99·50, dukat 5·67—, 20-frankówka 9·60½, marki 11·86, ruble 1·30½.

§ **Wschodnio-północno-zachodni** austryacki związ. kolejowy. Z dniem 1 lipca 1895 wejdą w życie następujące dodatki: 1) Dodatek III do zeszytu taryf. 1 z 1 października 1893 i 2) Dodatek I do zeszytu taryf. 3 z 1 stycznia 1895.

Telegramy „Przeglądu".

Londyn 24 czerwca. Skutkiem uchwały Izby gmin, obcinającej pensyę ministra wojny o 100 funtów szterlingów rocznie, podał się minister wojny Campbell-Bannermann do dymisyi. Wszelkie usiłowania skłonienia go do zatrzymania nadal swej teki pozostały bez skutku. W obec tego podał się do dymisyi także prezes gabinetu Rosebery. Królowa powołała do siebie Salisbury'ego.

Cyleja 24 czerwca. Wczoraj odbyła się bardzo liczna konferencya mężów zaufania Słowian styryjskich. Postanowiono jednomyślnie wyrazić podziękowanie wszystkim, którzy przyczynili się do powzięcia przez komisyę budżetową pomyślnej uchwały w sprawie gimnazyum cylejskiego, a mianowicie posłom Vosnjakowi i hr. Hohenwartowi, ks. Windischgraetzowi i byłemu ministrowi oświaty Madeyskiemu.

Nowara 24 czerwca. Podczas burzy na Lago Maggiore przewróciła się barka i dziesięć osób utonęło.

Kilonia 24 czerwca. Cesarz Wilhelm zwiedzał wczoraj pancernik włoski „Re Umberto", następnie pancernik hiszpański i amerykański.

Wiedeń 24 czerwca. Na dzisiejszych ogólnych audyencyach przyjmował Cesarz wszystkich członków byłego gabinetu ks. Windischgraetza, a następnie ministrów Kielmansegga i Böhma, tudzież kierowników innych ministeryów.

Przybył tu ambasador rosyjski hr. Kapnist.

Madryt 24 czerwca. W pałacu królewskim przychwycono waryata, który uroił sobie, że musi jeść obiad przy jednym stole z królową rejentką.

objęcia, zaczyna nim trząść i o cudo!... przywołuje do życia!... Albo pogrzeb Justyna. Zajeżdża sześciokonny karawan; wynoszą trumnę, kładą ją na wierzchu. Stary Podolski wybiega, roztrąca karawaniarzy, wydziera jednemu krzyż i staje na czele konduktu i sam prowadzi żałobny pochód.

Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym wśród tego odmętu cudactw nie dojrzał przebłysków talentu. Takim jest np. pogrzeb Kuniewicza, wycieczka Janki z Kuniewiczem i inne ustępy, w których p. Zapolska, zdobywszy się na prostotę, umiała usprawiedliwić nadzieje, jakie niegdyś w jej rzeczywistem uzdolnieniu pokładano. Tylko, że tych przebłysków coraz mniej i o wiele trudniej doszukać się ich, niż w innych utworach autorki.

A teraz, na zakończenie, kilka próbek stylu p. Zapolskiej.

„Kuniewicz, zmożony gorączką, która go trawiła z samolubstwem hydry, miał w sobie.. całą sarabandę nerwowo-zmysłową, siłą woli uśpioną w szklanym pałacu raz przyjętego obowiązku, jak masę chochlików, spętanych więzami delikatnej przędzy duchowej". (Tom II str. 68).

Albo:

„Kuniewicz był z natury leniwo-zmysłowym, poddającym się chętnie pod ciepłą kaskadę pocałunków kobiecych." (Tamże).

„Słowa listu spadły na nią piekącą chłostą i jak harpije rwały jej serce na szmaty."

„Nie były to twarze ludzkie, lecz zwierzęce pyski, strasznie zarosłe, zwalane krwią i błotem".

Każda namiętność u p. Zapolskiej objawia się „falą krwi, która zalewa oczy!"

Podobnych ustępów moglibyśmy przytoczyć bez liku, p. Zapolska bowiem najprostszej rzeczy nie umie opisać bez przesady i napuszystości w stylu.

Pomijamy już stronę etyczną i estetyczną powieści, która stanowi istny „Hexensabath" pojęć, poglądów, wrażeń i przekonań. Nigdzie śladu konsekwencyi, proporcyi, częstokroć nawet logiki, wszystko zaś jakby skłębione w niedającym się ująć w żadne formy chaosie. I oto całość przedstawia się nam jako płód rozwierzganej fantazyi, który wylągł się nawet nie z manii naśladowania, ale jak powiedzieliśmy wyżej, ze „zmanierowanego przedrzeźniania" Zoli i jego koryfeuszów.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

† 25 czerwca o 8 godz. odbędzie się **Żałobne nabożeństwo** za duszę Napoleona Topolnickiego w kościele OO. Jezuitów.

Podziękowanie. Podpisani dziękują najserdeczniej za życzliwy współudział w pogrzebie ich córki Heleny, Wielmożnej Pani **Straszewskiej**, Wielmożnemu księdzu **Kwiecińskiemu**, Wielmożnym Panom, Dyrektorowi **Bernadzikiewiczowi**, księdzu **Dukietowi** i tym Wielmożnym Paniom **Nauczycielkom**, które na ten smutny obrzęd na czele ósmej klasy przybyły, jakoteż Wielmożnym Panom **Pieniążkowi**, **Szellowi** **Pniaczkowi** i **Konopnickiemu**, oraz wszystkim Tym, którzy nam wiele szczerego współczucia okazali.

Palinscy.

Wiedeń 24 czerwca (godz. 11 w połudn.) Kredyty 409.—, kred. węg. —.—, Anglobanki 173.25, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 285.40, Akcye tyton. 237.50, Staatsbahny 442.12, Lomb. (z kup.) 110.37, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 59.32 Losy tureckie —.—

24)

DWIE KUZYNKI

POWIEŚĆ

przez **Katarzynę Green.**

(Przekład z angielskiego)

(Ciąg dalszy).

— Przyszedłem się dowiedzieć — mówiłem — jakie jest pańskie zdanie o testamencie i o możliwym jego wpływie na przebieg sprawy.

— A pan, co o tem myślisz?

— Mnie się zdaje, że rozporządzenia tego testamentu nie zmienią kierunku opinii publicznej. Ci, którzy uważają Eleonorę za winną, sądzić będą, iż mają większe jeszcze prawo wątpić o jej niewinności; ci zaś, którzy dotychczas jej nie posądzali, uznają, że nieznaczna stosunkowo suma, jaka jej przypadła w udziale, stanowi niedostateczną pobudkę do tak potwornej zbrodni.

— Czy słyszałeś już pan krążące o tem zdania? Jaki jest sąd osób, z któremi pan rozmawiałeś?

— Że przyczyny morderstwa należy szukać w nierówności zapisu.

P. Gryce zaczął się przypatrywać szufladkom od biurka.

— Czy to panu nie daje do myślenia? — spytał.

— ...Do myślenia? Nie rozumiem pana. Od trzech dni wciąż o tem myślę...

— Och! przepraszam, nie chciałem pana obrazić. Czyś pan widział p. Clavering?

— Widziałem go, ale tylko tyle.

— Czy dopomożesz p. Harwell do ukończenia dzieła p. Leavenworth.

— Zkąd pan wiesz o tem?

Uśmiechnął się.

— Istotnie, miss Leavenworth prosiła mnie o to, jak o łaskę — dodałem.

— Co za czarująca istota! — zawołał Gryce i przechodząc znowu do zwykłego, chłodnego tonu, rzekł: — Mister Raymond, będziesz pan miał sposobność rozejrzeć się w sytuacyi. Chciałbym, abyś pan przedewszystkiem zbadał dwie rzeczy: najprzód jakie stosunki zachodziły pomiędzy temi paniami i p. Clavering?

— A więc zachodziły stosunki?

— Niewątpliwie. A powtóre: jaki jest powód rozterki, istniejącej pomiędzy kuzynkami?

Wstręt mnie przejął.

P. Gryce wyznaczył mi niecną rolę szpiega w domu kobiety uczciwej. Jakże mogłem pogodzić to z mojemi instynktami gentlemana?

— Czy nie widzisz pan przyzwoitszego sposobu dla zbadania tajemnic tego domu? Niepodobna mi przyjąć na siebie roli szpiega.

P. Gryce brwi zmarszczł.

— Gotów jestem — ciągnąłem dalej — dopomagać panu Harwell do przygotowania dzieła p. Leavenworth do druku. Nastręczę panu Clavering sposobność poznania się ze mną; skorzystam ze zwierzeń, które miss Leavenworth zechce mi uczynić; lecz podsłuchiwać pode drzwiami, używać podstępów i wybiegów, niegodnych gentlemana, tego za nic w świecie się nie dopuszczę. Moją rzeczą będzie wykryć to, co się da, na drodze otwartej, szlachetnej; do pana należy — grzebać potajemnie, wyszukiwać dróg podstępnych.

— Innemi słowy, pan będziesz legawcem, ja — kretem. Dobrze. Wiem, co przystoi gentlemanowi.

— A teraz, powiedz mi pan, jakie są wieści o Hannie?

— Nie ma żadnych.

Owego wieczora, wychodząc z biblioteki, gdzie przez godzinę byłem zajęty z p. Harwell, spotkałem na schodach w sieni miss Mary.

Po zachowaniu jej dnia poprzedniego mogłem się spodziewać że zechce dziś ze mną się widzieć, lecz zdziwił mnie sposób, w jaki wszczęła rozmowę.

— Mr. Raymond — rzekła z widocznem zakłopotaniem — chciałabym zapytać pana o coś. Sądzę, że odpowiesz mi pan szczerze, jak brat — szepnęła, spoglądając na mnie z pod spuszczonych powiek. — Słowa moje zdziwią pana może, ale nie mam czyjego zdania zasięgnąć a tak mi ciężko na sercu. Mr. Raymond, powiedz mi pan, czy można popełnić coś bardzo złego, a potem być dobrym?

— Zapewne — odparłem — jeśli się żałuje błędu.

— A jeśli to było coś więcej, niż błąd, jeśli to była krzywda — czy myśl o tem, żeśmy ją wyrządzili, nie zatruje nam życia całego.

— To zależy od rodzaju krzywdy i od jej skutków. Jeśliśmy niepowrotnie pozbawili szczęścia bliźniego, to i sami go już nie zaznamy, choć możemy winę naszą zmazać dobremi uczynkami.

— Ale czy koniecznem jest dla zgładzenia winy przyznać się do niej? Czy można bez tego uczynić zadość sumieniu?

— Tak, jeśli tylko wyznanie nie jest koniecznem dla strony pokrzywdzonej.

Stała przez chwilę zamyślona, wreszcie wprowadziła mnie do salonu i zawiązała rozmowę o innym zupełnie przedmiocie, chcąc widocznie w pamięci mej zatrzeć wspomnienie poprzednich słów; lecz pomimo bardzo zręcznych usiłowań, nie dopięła tego. Zbyt byłem zainteresowany losami jej kuzynki i wszystkiem, co się mogło do nich odnosić.

Wychodząc z salonu, spotkałem w sieni kamerdynera, Tomasza, opartego o parapet schodów. Nie mogłem się oprzeć chęci zapytania go o jeden szczegół, który zaprzątywał mi wciąż głowę od czasu śledztwa.

Chciałem się dowiedzieć, kto był ów mr. Le Roy Robbins, który odwiedził Eleonorę wieczorem, dnia złowrogiego.

Tomasz widocznie nie był gadułą.

Na pytanie moje odpowiedział, że istotnie przychodził jakiś gentleman, lecz twierdził, że go sobie nie przypomina i pamięta tylko, że był słusznego wzrostu.

Nie nalegałem więcej.

XVII.

Początek wielkich niespodzianek.

Vous regardez une étoile pour deux motifs: parcequ'elle est lumineuse, et parcequ'elle est impénétrable. Vous avez près de vous un plus doux rayonnement et un plus grand mystère: la femme *Victor Hugo.*

Upłynęło dni kilka, w ciągu których nie zrobiłem żadnych nowych odkryć.

Mr. Clavering, wypłoszony zapewne moją obecnością, przestał przychodzić do hotelu Hoffmann, pozbawiając mnie najłatwiejszego sposobu zawiązania z sobą stosunków; wieczory, spędzone u miss Leavenworth, przyczyniały mi tylko niepokoju.

Rękopis mniej potrzebował poprawek, niźli w pierwszej chwili sądziłem, lecz przeglądając go, miałem sposobność studyować charakter p. Harwell.

Był sztywny, ponury, niewzruszony, lecz zyskiwał coraz bardziej moją sympatyę poczuciem obowiązku i niezwykłą pracowitością; widziałem jednak, że mi się nie wywzajemnia życzliwością.

Nie wspomniał nigdy o Eleonorze i wogóle nie mówił wcale o rodzinie Leavenworth i jej niesnaskach.

Poczynało mnie to nawet dziwić i naprowadzało na domysł, że ta powściągliwość wypływa nie z usposobienia jedynie, lecz z innego jeszcze, nieznanego mi powodu i że gdy p. Harwell do mnie się odzywa, to zawsze z jakimś ukrytym celem.

Żywiąc w duszy takie podejrzenie, byłem naturalnie ostrożny.

Od czasu do czasu spoglądałem na niego z pod oka, chcąc zobaczyć, jak się też zachowuje, gdy sądzi, że go nikt nie śledzi; lecz był zawsze jeden i ten sam: pracowity, spokojny i bierny.

Zadanie moje było trudne. Jak miałem sobie poradzić z tymi dwoma ludźmi: nieprzeniknionym sekretarzem i ponurym Claveringiem?

Z drugiej znowu strony rozmowy moje z miss Leavenworth nie doprowadziły do żadnego rezultatu.

Usposobienie jej zmienne było, jak pogoda na wiosnę.

Piękna panna była na przemian: wyniosłą, zgorączkowaną, nadąsaną, wdzięczną, błagającą, a nigdy dwa dni z rzędu jednakową. Doszło do tego, żem obawiał się rozmowy z nią, choć powinienem był jej pragnąć.

Znajdowała się widocznie w jakiejś fazie przełomu, nadzwyczaj bolesnej.

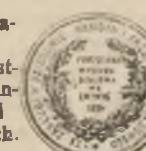
Raz, gdym jej się przyglądał z ukradka, spostrzegłem, że wyciąga ręce przed siebie, ruchem takim, jakby się zasłaniała od pocisku lub odpychała jakie straszne widziadło.

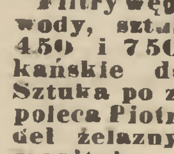
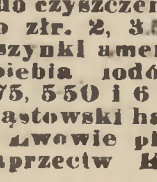
To znowu, gdy sądziła, że jest sama w pokoju, stała z głową pochyloną i obwisłemi rękoma, uginała się jakby pod brzemieniem, którego pozbyć się nie mogła, a nie miała siły go dźwigać.

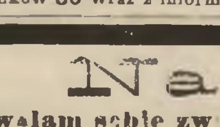
Zazwyczaj jednak była dumna, majestatyczna i choć oczy jej wyrażały błaganie i trwogę, postawa świadczyła o zupełnym spokoju ducha.

Że były to objawy, mające pewne, ukryte znaczenie — nie wątpiłem ani na chwilę, i uzbroiwszy się w cierpliwość, spodziewałem się, że wcześniej czy później potrafię zdjąć z ust jej pieczęć milczenia i wydrzeć tej tajemnicę, od której zależało szczęście i honor Eleonory; a spodziewałem się tego, pomimo strasznego oskarżenia, jakie rzuciła w oczy kuzynce, a które podsłuchaliśmy z p. Gryce.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Odpowiedzialny redaktor Wacław Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.